Wojna i kwiat pomarańczy

Maria Piotrowska

Chociaż Meksykanin Jesus Goytortua nie jest pisarzem, który dorównywałby klasą latynoamerykańskim pisarzom tej miary co Julio Cortazar, czy Gabriel Garcia Marquez, to jego proza tradycyjna i bezpretensjonalna, z tym większą siłą opanowuje

wyobraźnię czytelnika wciągając go w świat pasjonujących zdarzeń, niezłomnych charakterów, pierwotnej przyrody, graniczących sytuacji moralnych i najczystszej liryki. Egzotyka tego świata, jego swoistość, narzucić się musi ze szczególną ostrością czytelnikowi polskiemu, który otrzymał polski przekład napisanej przed pięćdziesięciu laty książki Goytortui „Pensativa". Jej kanwą jest burzliwy okres historii Meksyku: lata dwudzieste i trzydzieste dwudziestego wieku, gdy toczyła się krwawa wojna domowa między wyznawcami wiary katolickiej (cristeros), a wojskami rządu broniącego zapisów konstytucji z roku 1917, które godziły w duchowieństwo i Kościół. Dwoje protagonistów powieści-tytułowa „Zadumana" Gabriela Infante oraz młody prawnik-ziemianin Roberto, są upostaciowaniem wyzwolonych przez bratobójczą wojnę obcych sobie sił, które z bezwzględną koniecznością determinują ich los. Miłość Roberta do Gabrieli Infante wybuchnąć musiała: bohaterka jest piękna i otoczona famą cnoty i prawością uroku. Głębi dodaje jej osobista tragedia, męczeńska śmierć brata, przywódcy cristeros, tajemniczość, w jakiej się pogrąża żyjąc wśród wiernych ex-powstańców na zrujnowanej hacjendzie, resztce świetności rodzinnej, wreszcie niejasny, ukrywany przez otoczenie udział w wojennych wypadkach. Ale oto bieg wydarzeń aktualnych oraz ukazanych w retrospekcji, odsłania przed Robertem całą prawdę o „Zadumanej": Gabriela Infante okazuje się słynną Panią Generał, podobnie jak jej brat, nieustraszoną przywódczynią cristeros, zdolną do wyrachowanej mściwości i w imię praw

wojny akceptuje okrucieństwo głuche na błagania o litość. Na stronę wydarzeń wkraczają upiory krwawej przeszłości. Przerażenie i odraza Roberta (to kobieta ociekająca krwią) biorą górę nad miłością: ceremonia ślubna, do której oblubienica przystroiła już głowę pomarańczowym kwieciem, zostaje odwołana: bohater, człowiek słabego ducha, ściąga na siebie nienawiść zawziętych ex-cristeros. Następuje katastrofa. Życiowo przegrywają oboje: ona chroni się za klasztorną kratą, on wraca do dawnego „sztucznego" życia w Mexico City, skazany na mękę wspomnień i niewczesny żal. Moralnie zdaje się wygrywać Gabriela Infante dzieląca z innymi cristeros przekonanie, że obrona wiary jest obowiązkiem dającym prawo do przelewu krwi i okrucieństw (miecz świętego gniewu jest błogosławiony), ale jeżeli się z tych zmagań wyszło się cało, cierpienia zadane współbraciom okupić trzeba ascezą, W ten sposób życie realizowane staje się legitymacją poglądów. Natomiast pogląd Roberta, że bratobójcza wojna jest tragicznym błędem, a okrucieństwa nie da się niczym uzasadnić – znajduje swoje usprawiedliwienie tylko w jego osobistej wrażliwości.

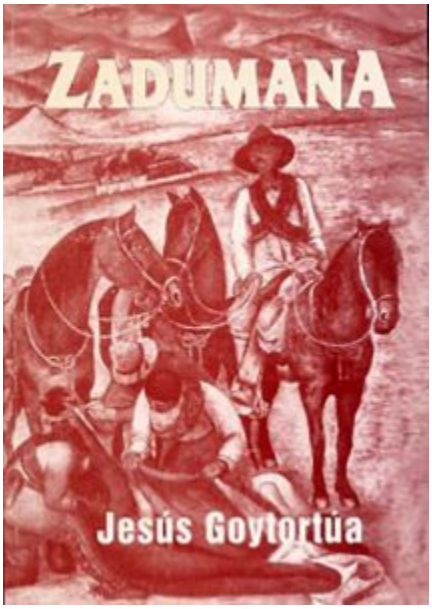

Czytelnik świadomy stylu jego wcześniejszego życia w Mexico gotów jest nawet zadać sobie pytanie: a może to tylko słabe nerwy i czy można żądać od historii powszechnej, by respektowała nakazy Ewangelii? Ale bohater powieści Goytortui cierpi i wśród tych cierpień kocha nadal, a z tego cierpienia, z tych uczuć i tej wrażliwości autora niewątpliwie się utożsamia. Narracja w pierwszej osobie ma charakter personalny, wyrasta powieść, danie świadectwa i wywyższenie heroizmu. Spisane przez Roberta wyznania ratują powstańcze cnoty przed zapomnieniem. Ostatecznie w obliczu ryzyka ran i śmierci tylko twórcze zmagania i ich rezultat: opowieść-świadectwo, okazują się legitymacją potępienia walk w imię osobistej wrażliwości – tylko one.

W Posłowiu autor polskiego przekładu, Florian Śmieja, włączył powieść Goytortui do nurtu literatury popularnej. Taka w istocie jest ta powieść, gdyż z odmową eksperymentowania łączy się

pewna szkicowość, a niekiedy nawet zdawkowość dialogów, a także prostota monologu wewnętrznego, który dopiero pod koniec pogłębia się i indywidualizuje. Jest jednak w tej książce obecna pewna stała wartość, bez której nie byłaby ona sobą i gdzie Goytortua okazuje się prawdziwym „małym mistrzem”: jest to niezrównana sugestywność świata przedstawionego. Są to wnętrza mieszkalne, ledwie zarysowane, gdzie nie tyle piękno, co charakter przedmiotów zapada w pamięć:

> pogrążone są one w przeróżnych odmianach światła, w przedziwnej symbiozie z rozpościerającą się tuż za progiem naturą, która żyje, mieni się niuansami barw i światłocieni, przemawia różnorodnymi głosami i szeptami. Rzadko przybierając kształty oswojone. Jest ona z reguły dzika i zmusza wędrowców do poświęcania jej więcej uwagi: o zmierzchu ulewa czyni bowiem krajobraz niewidocznym i jeźdźcy zdawać się muszą na instynkt koni, za to następnego ranka zieleń staje się intensywniejsza, ziemia dymi w żółtawym słońcu, a najmniejszy podmuch wiatru przynosi deszcz szeleszczący w gałęziach. W zakamarkach skał wody rzeki huczą i szemrzą, ich kolor zmienia się wraz z ruchem obłoków na niebie, a poprzez gałęzie, od którymi zbiera się ciemność, widać góry, gdy nie giną one za woalami mżawki, wydają się pełne gróźb, nieprzyjazne, wiodące utajone gwałtowne życie, i nic dziwnego, że miejsce, gdzie dokonały

> się zdrada i zbrodnia, tchnie pustką i grozą. Kojoty i węże pierzchają przed zabłąkanym przybyszem a zawodzący wiatr miota zaroślami zrywając leśne kwiaty.

Niektóre zwroty ostatniego akapitu, a ściślej, jego końcowego fragmentu, czerpię *in crudo* i na wyrywki z tekstu powieści, gdyż tylko w ten sposób mogę czytelnikowi zaanonsować piękno polskiego przekładu Florian Śmieji. Ta polska proza płynie nurtem silnym i pewnym, choć niekiedy pełnym skrywanego niepokoju, który jest zapowiedzią nadciągających zdarzeń. Jej bogactwo leksykalne i jakość językowych formuł wyczarowują ową niepowtarzalną rodzajowość w opisie ludzkich siedzib i niczyjego, posępnego krajobrazu. Rodzajowość egzotyczną tam, gdzie do otoczonych krużgankami patios prowadzą eukaliptusowe aleje, zaś bliską i stale taką samą, wtedy gdy wzrok pada na wyścielane krzesełko przy oknie, ręka podaje chorej szklankę mleka, a przed dom wybiega z latarnią chłopiec, by wskazać podróżym ścieżkę prowadzącą do drzwi.

Jesus Goytortua: Zadumana (Pensativa). Z języka hiszpańskiego przełożył i posłowiem opatrzył Florian Śmieja. Wydawnictwo Wacław Bagiński, Wrocław 1997.

Florian Śmieja – doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Uroczystość wręczenia doktoratu honoris causa na Uniwersytecie Wrocławskim, 2915 r., od prawej: rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marek Bojarski, prof. Florian Śmieja i prof. Beata Baczyńska..

Beata Baczyńska *(Wrocław)*

Profesor Florian Śmieja urodził się 22 sierpnia 1925 roku w Kończycach na Górnym Śląsku. Jego rodzice, wywodzący się z Dobrzenia Wielkiego i Starych Siołkowic, po plebiscycie 1921 roku postanowili opuścić rodzinną Opolszczyznę i zamieszkać w granicach Polski. Florian Śmieja naukę rozpoczętą w rodzinnych Kończycach kontynuował w Tarnowskich Górach w Gimnazjum im. księcia Jana Opolskiego. Do wybuchu wojny zdążył ukończyć dwie klasy. W 1940 roku został wywieziony na roboty przymusowe do Meklemburgii. Pod koniec wojny znalazł się w

Belgii, gdzie – po wkroczeniu wojsk alianckich – zaciągnął się ochotniczo do polskiego wojska.

Po wojnie uzupełnił wykształcenie w polskim gimnazjum i liceum dla zdemobilizowanych żołnierzy w Szkocji. Po uzyskaniu matury w 1947 roku znalazł się w Irlandii, gdzie w University College w Cork studiował filologię angielską i hiszpańską, uzyskując w 1950 roku dyplom *Bachelor of Arts*. Wówczas zaproponował mu asystenturę prof. Jerzy Pietrkiewicz, który w 1950 roku objął katedrę literatury polskiej w School of Slavonic and East European Studies w Londynie. Florian Śmieja kontynuował równolegle studia magisterskie w londyńskim King's College, uzyskując w 1955 roku tytuł magistra filologii hiszpańskiej, a siedem lat później, w 1962 roku, stopień doktora, po złożeniu rozprawy pt. *Antonio de Ledesma and the Rise of the Religious Concept*, którą napisał pod kierunkiem Alexandra A. Parkera. W latach 1958-1963 Florian Śmieja był wykładowcą języka hiszpańskiego w London School of Economics, po uzyskaniu doktoratu objął stanowisko wykładowcy literatury hiszpańskiej na Uniwersytecie w Nottingham (1963-1969). W 1969 roku przeniósł się wraz rodziną do Kanady, gdzie w 1970 roku objął katedrę literatury hiszpańskiej w University of Western Ontario w kanadyjskim London. Do przejścia na emeryturę (1991) kierował sekcją hiszpańską Department of Modern Languages and Literatures na tym kanadyjskim uniwersytecie. Mieszka w Mississauga z żoną Zofią z Poniatowskich, w Kanadzie żyją i

pracują ich dzieci – Anna, Barbara, Marek i Juliusz.

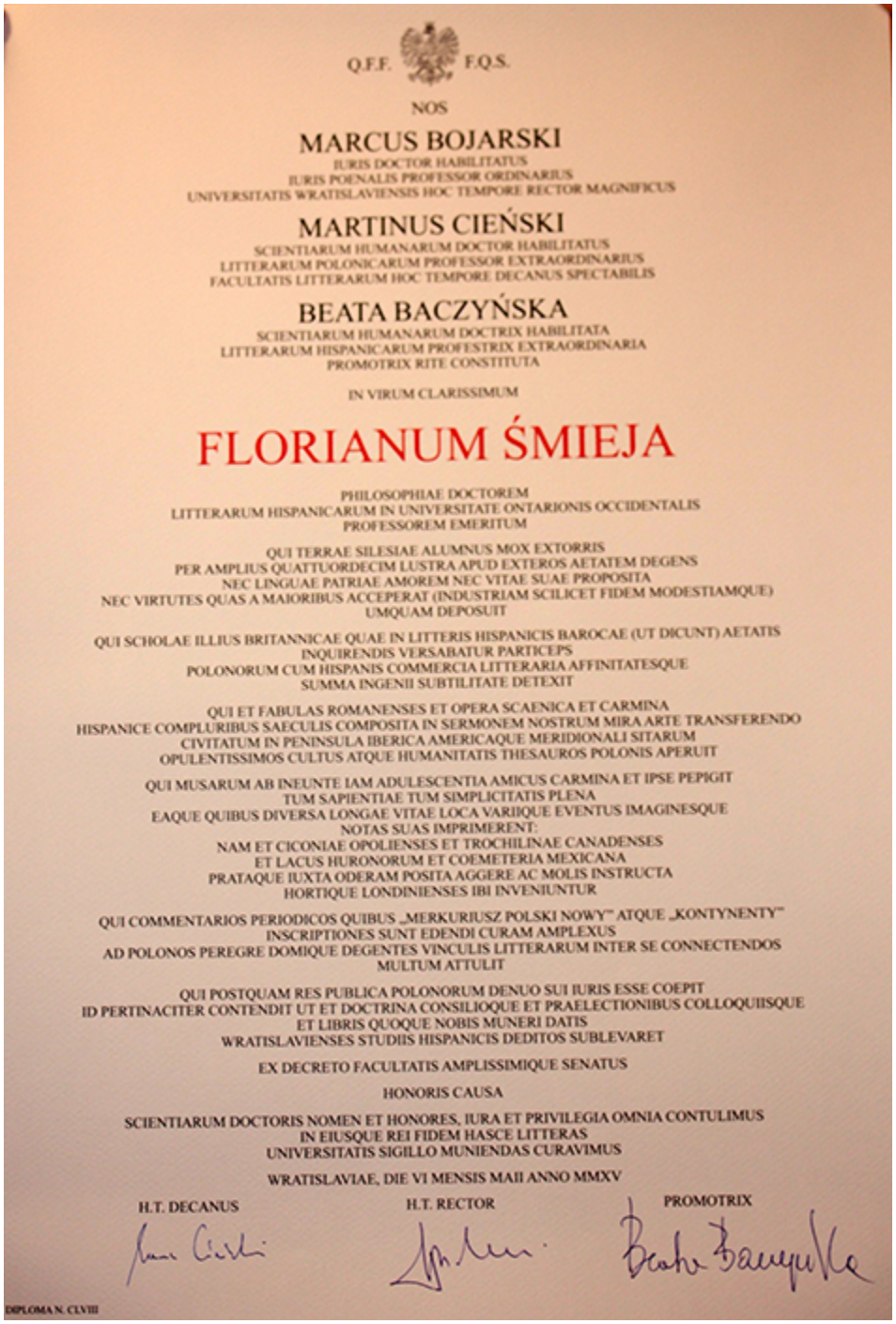

Q.F.F. F.Q.S.

NOS

MARCUS BOJARSKI
IURIS DOCTOR HABILITATUS
IURIS POENALIS PROFESSOR ORDINARIUS
UNIVERSITATIS WRATISLAVIENSIS HOC TEMPORE RECTOR MAGNIFICUS

MARTINUS CIEŃSKI
SCIENTIARUM HUMANARUM DOCTOR HABILITATUS
LITTERARUM POLONICARUM PROFESSOR EXTRAORDINARIUS
FACULTATIS LITTERARUM HOC TEMPORE DECANUS SPECTABILIS

BEATA BACZYŃSKA
SCIENTIARUM HUMANARUM DOCTRIX HABILITATA
LITTERARUM HISPANICARUM PROFESTRIX EXTRAORDINARIA
PROMOTRIX RITE CONSTITUTA

IN VIRUM CLARISSIMUM

FLORIANUM ŚMIEJA

PHILOSOPHIAE DOCTOREM
LITTERARUM HISPANICARUM IN UNIVERSITATE ONTARIONIS OCCIDENTALIS
PROFESSOREM EMERITUM

QUI TERRAE SILESIAE ALUMNUS MOX EXTORRIS
PER AMPLIUS QUATTUORDECIM LUSTRA APUD EXTEROS AETATEM DEGENS
NEC LINGUAE PATRIAE AMOREM NEC VITAE SUAE PROPOSITA
NEC VIRTUTES QUAS A MAIORIBUS ACCEPERAT (INDUSTRIAM SCILICET FIDEM MODESTIAMQUE)
UMQUAM DEPOSUIT

QUI SCHOLAE ILLIUS BRITANNICAE QUAE IN LITTERIS HISPANICIS BAROCAE (UT DICUNT) AETATIS
INQUIRENDIS VERSABATUR PARTICEPS
POLONORUM CUM HISPANIS COMMERCIA LITTERARIA AFFINITATESQUE
SUMMA INGENII SUBTILITATE DETEXIT

QUI ET FABULAS ROMANENSES ET OPERA SCAENICA ET CARMINA
HISPANICE COMPLURIBUS SAECULIS COMPOSITA IN SERMONEM NOSTRUM MIRA ARTE TRANSFERENDO
CIVITATUM IN PENINSULA IBERICA AMERICAQUE MERIDIONALI SITARUM
OPULENTISSIMOS CULTUS ATQUE HUMANITATIS THESAUROS POLONIS APERUIT

QUI MUSARUM AB INEUNTE IAM ADULESCENTIA AMICUS CARMINA ET IPSE PEPIGIT
TUM SAPIENTIAE TUM SIMPLICITATIS PLENA
EAQUE QUIBUS DIVERSA LONGAE VITAE LOCA VARIIQUE EVENTUS IMAGINESQUE
NOTAS SUAS IMPRIMERENT:
NAM ET CICONIAE OPOLIENSES ET TROCHILINAE CANADENSES
ET LACUS HURONORUM ET COEMETERIA MEXICANA
PRATAQUE IUXTA ODERAM POSITA AGGERE AC MOLIS INSTRUCTA
HORTIQUE LONDINIENSES IBI INVENIUNTUR

QUI COMMENTARIOS PERIODICOS QUIBUS „MERKURIUSZ POLSKI NOWY" ATQUE „KONTYNENTY"
INSCRIPTIONES SUNT EDENDI CURAM AMPLEXUS
AD POLONOS PEREGRE DOMIQUE DEGENTES VINCULIS LITTERARUM INTER SE CONNECTENDOS
MULTUM ATTULIT

QUI POSTQUAM RES PUBLICA POLONORUM DENUO SUI IURIS ESSE COEPIT
ID PERTINACITER CONTENDIT UT ET DOCTRINA CONSILIOQUE ET PRAELECTIONIBUS COLLOQUIISQUE
ET LIBRIS QUOQUE NOBIS MUNERI DATIS
WRATISLAVIENSES STUDIIS HISPANICIS DEDITOS SUBLEVARET

EX DECRETO FACULTATIS AMPLISSIMIQUE SENATUS

HONORIS CAUSA

SCIENTIARUM DOCTORIS NOMEN ET HONORES, IURA ET PRIVILEGIA OMNIA CONTULIMUS
IN EIUSQUE REI FIDEM HASCE LITTERAS
UNIVERSITATIS SIGILLO MUNIENDAS CURAVIMUS

WRATISLAVIAE, DIE VI MENSIS MAII ANNO MMXV

H.T. DECANUS | H.T. RECTOR | PROMOTRIX

DIPLOMA N. CLVIII

Dyplom

Na początku lat 90. prof. Florian Śmieja, z inicjatywy prof. dr.

hab. Piotra Sawickiego, nawiązał stałą współpracę z Uniwersytetem Wrocławskim, wspierając wiedzą i doświadczeniem młody zespół Zakładu Iberystyki w Instytucie Filologii Romańskiej. Od roku akademickiego 1991/92 do 1996/97 gościł we Wrocławiu co roku, prowadząc w semestrze letnim wykłady i seminaria z literatury hiszpańskiej i latynoamerykańskiej w Instytucie Filologii Romańskiej oraz zajęcia z literatury emigracyjnej w Instytucie Filologii Polskiej.

Profesor Florian Śmieja jako hispanista jest przedstawicielem angielskiej szkoły studiów hispanistycznych, która na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku była w szczytowym punkcie rozwoju. Jest uczniem Alexandra A. Parkera oraz Edwarda M. Wilsona, których prace zapoczątkowany nową epokę w studiach nad literaturą i kulturą hiszpańskiego baroku. Profesor Florian Śmieja wpisał się w reprezentowany przez nich nurt badań nad hiszpańskim konceptyzmem oraz dramaturgią hiszpańskiego Złotego Wieku. Współpracował z hiszpańskimi wydawnictwami jako edytor tekstów dawnej literatury hiszpańskiej, opracował m.in. wydanie dramatu Cervantesa *El rufián dichoso* (Zaragoza, Clásicos Ebro, 1977) oraz sztuki hagiograficznej Agustina Moreto *El lego del Carmen* (Salamanca, Anaya, 1970).

Charakterystyczny rys jego badań stanowi podejmowanie wątków komparatystycznych. Wskazywanie na filiacje polskie w literaturze hiszpańskiej traktował jako swoją misję, wyniki badań

publikując w czasopismach hispanistycznych i filologicznym o zasięgu światowym: „Bulletin of Hispanic Studies", „The Modern Language Review", „Hispanic Review", „Romance Notes", „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos", „Revista de Literatura", „Kwartalnik Neofilologiczny", „Archivo Hispalense". Śledził ślady najwcześniejszych tłumaczeń i adaptacji hiszpańskiej literatury na język polski oraz polskich tematów w hiszpańskiej literaturze, w tym polskich świętych, którzy stali się bohaterami hiszpańskich dramatów w wieku XVII. W madryckiej Bibliotece Narodowej odnalazł rękopis sztuki o św. Kazimierzu, przypisywany Agustinowi Moreto, i opublikował – *Antes morir que pecar* (London, University of Western Ontario, 1992). Dokumentował także recepcję hiszpańskich dramatów w Polsce, docierając do tekstów uznawanych za zaginione, np. do pierwszego polskiego przekładu *Życia snem* Calderóna, którego premiera odbyła się we Lwowie w 1826 roku. Podawał do wiadomości przekłady polskich relacji i pamiętników z podróży, w których opisywano Hiszpanię lub spotkania z Hiszpanami, m.in. anonimowy diariusz z podróży do Hiszpanii w 1595, dziennik podróży Stefana Paca, który towarzyszył królewiczowi Władysławowi Wazie w podróży po Europie w latach 1624-1625.

Prof. Florian Śmieja, Uniwersytet Wrocławski, 2015 r.

Pracę naukową i dydaktyczną Profesor Śmieja łączył z działalnością na rzecz upowszechniania literatury hiszpańskiej w polskiej – krajowej i emigracyjnej – prasie literackiej. Współpracował m.in. z londyńskimi „Wiadomościami" i „Życiem Akademickim", paryską „Kulturą", kanadyjskim „Związkowcem", po 1956 roku nawiązał kontakt z polskimi czasopismami – od lat 60. publikował m.in. na łamach „Więzi", „Tygodnika Powszechnego", w latach 90. współpracował z czasopismem

„Śląsk”, wrocławską „Odrą”. Jest autorem licznych przekładów literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej – wierszy, dramatów, opowiadań, powieści. W okresie współpracy z Uniwersytetem Wrocławskim ukazały się m.in. wydania dwujęzyczne *Abencerrag. Historia Abindárraeza i pięknej Haryfy* (Wrocław, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 1995), anonimowej noweli hiszpańskiej z XVI wieku, pełne wydanie miniatur poetyckich prozą Juana Ramóna Jiméneza *Srebroń i ja* (Wrocław, Wydawnictwo Wacław Bagiński, 1997), meksykańską powieść pt. *Zadumana* Juana Goytortúy, *Legendy i listy literackie* hiszpańskiego romantyka, Gustavo Adolfo Bécquera (Wrocław, Wydawnictwo Wacław Bagiński, 2000). W 1988 roku nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie ukazał się w jego tłumaczeniu z języka hiszpańskiego zbiór *Poezji arabsko-andaluzyjskich*, którego drugie wydanie ukazało się pięć lat później nakładem katowickiego Centrum Kultury (1993). Wcześniej, od lat 70. Profesor Śmieja współpracował z Wydawnictwem Literackim, które wydało w jego przekładzie powieść *Gniew* Mariano Azueli (1973) oraz *Czas milczenia* Luisa Martína-Santosa (1978).

Florian Śmieja był współzałożycielem i redaktorem londyńskich pism literackich – „Merkuriusza Polskiego” i „Kontynentów”, które odegrały bardzo ważną rolę w panoramie literatury emigracyjnej na przełomie lat 50. i 60., stawiając na łączność ze środowiskiem twórców w kraju. Działalność edytorska, literacka

i publicystyczna to bardzo ważna sfera działalności Profesora Floriana Śmiei. Już w 1953 roku zadebiutował tomikiem wierszy *Czuwanie u drzwi*, wydanym w Londynie, w 1964 nakładem Oficyny Poetów i Malarzy również w Londynie ukazał się kolejny – *Powikłane ścieżki*. Rok później jego wiersze znalazły się w antologii przygotowanej przez Adama Czerniawskiego, która ukazała się w Londynie – *Ryby na piasku* (1965). W 1982 roku Wydawnictwo Literackie w Krakowie opublikowało wybór jego wierszy. Kolejne tomy ukazywały się w Kanadzie – *Kopa wierszy* (1981), *Jeszcze wiersze* (1984), *Przezorność czasu* (1992), *Ziemie utracone* (1994). W 1994 roku ukazał się we Wrocławiu – *Mały wybór wierszy*, w 1998 w Katowicach – *Wiersze wybrane*, równolegle – nakładem Silcan House w Mississauga – ukazywały się kolejne tomiki m.in. *Wśród swoich* (1998), *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001). W 1989 roku ukazał się jego wybór wierszy w przekładzie na język angielski opatrzony znaczącym tytułem-deklaracją poety, polskiego emigranta zamieszkałego w Kanadzie: *Not a Tourist* (London, Third Eye Publications). Wcześniej, w 1984 roku, razem z Wacławem Iwaniukiem opracował dwujęzyczną antologię *Seven Polish Canadian Poets*, która ukazała się nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Znaleźli się w niej m.in. Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Janusz Ihnatowicz, z którymi Florian Śmieja współpracował na łamach „Merkuriusza Polskiego" i „Kontynentów". W 1990 roku wydał książkę zawierającą rozmowy z Tymonem Terleckim, Jerzym Pietrkiewiczem,

Januszem Ihnatowiczem, Stanisławem Barańczakiem, Krzysztofem Lisowskim, Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckim oraz Wacławem Iwaniukiem (*Siedem rozmów o poezji*, Toronto, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie). Sama lista interlokutorów pokazuje zamysł łączenia doświadczeń krajowych i emigracyjnych twórców. Taki bowiem charakter miała od końca lat 50-tych działalność literacka, krytyczna i publicystyczna Floriana Śmiei.

FELIPE VI, REY DE ESPAÑA

GRAN MAESTRE DE LA ORDEN DE ISABEL LA CATÓLICA
Y EN SU NOMBRE

EL MINISTRO DE ASUNTOS EXTERIORES Y DE COOPERACIÓN
GRAN CANCILLER DE LA ORDEN

En atención a los méritos y circunstancias que concurren en

Sr. Florian Ludwik Śmieja

Ha tenido a bien otorgarle la Encomienda *de la Orden de Isabel la Católica.*

Por tanto, se le conceden los honores, distinciones y uso de las insignias que os corresponde a tenor de los Estatutos.

Dado en Madrid, a 22 de abril de 2015

EL MINISTRO DE ASUNTOS EXTERIORES Y DE COOPERACIÓN

EL EMBAJADOR SECRETARIO DE LA ORDEN

Profesor Florian Śmieja w 2015 roku otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej od króla Hiszpanii Filipa VI.

Profesor Florian Śmieja niestrudzenie dokumentuje działalność literacką polskich emigrantów oraz pamięć o ważnych postaciach polskiej diaspory powojennej w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Ameryki Łacińskiej. Własne archiwum literackie przekazał Uniwersytetowi Rzeszowskiemu. Twórczości literackiej i hispanistycznej Profesora Śmiei

poświęcono kilka konferencji naukowych i książek. W 2011 roku Profesor został odznaczony srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W dniu 29 października 2014 roku Senat Uniwersytetu Wrocławskiego podjął uchwałę w sprawie nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego Profesorowi Florianowi Śmiei.

Tekst ukazał się w czasopiśmie „Estudios Hispánicos”, 23 (2016).

Rozmowa z prof. Florianem Śmieją na temat literatury hiszpańskojęzycznej:

https://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/

Realizm i magia.

Rozmowa o literaturze iberoamerykańskiej.

Florian Śmieja w Starych Siołkowicach – miejscu urodzenia matki, fot. arch. F. Śmiei.

Beata Tarnowska:

Jest pan nie tylko poetą, tłumaczem, ale również byłym profesorem iberystyki na *University of Western Ontario* w Kanadzie oraz z racji wykonywanego zawodu znawcą literatury hispanojęzycznej. Czy podróżując po Ameryce Łacińskiej miał pan okazję poznać pisarzy tego kręgu kulturowego?

Florian Śmieja:

Poznałem Mario Vargasa Llosę, Alejo Carpentiera, Jorge`a Luisa Borgesa…

Czy zetknął się pan z Gabrielem Garcią Marquezem?

Niestety, nie. Natomiast poleciałem do Cartageny w Kolumbii, gdzie dwudziestoletni Marquez otrzymał przed laty pracę dziennikarza i reportera. Byłem w redakcji dziennika „El Universal", w którym pracował. Znalazłem się więc w miejscu, z którego autor „Stu lat samotności" czerpał inspirację do swojej twórczości – był bowiem zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Jak sam powiadał, właśnie to zbieractwo, fantazja i umiejętność przekształcania autentycznych wydarzeń spowodowały ogromne bogactwo jego dzieła. Niezwyczajny czar kryje się w geograficznych nazwach kolumbijskiego wybrzeża: Cartagena, Barranquilla, Aracataca, Riohacha… Podobnie jak Homer czy

Dante, Marquez właściwie nie precyzuje, nie dopowiada do końca, gdzie się urodził. Ale zarazem mógł chyba tylko tam się urodzić, na swojej „ziemi świętej”… Może jest to część mistyfikacji, którą niektórzy uważają za niezbędny element kreowania własnej sylwetki?

Które z powieści z kręgu prozy iberoamerykańskiej szczególnie Pan ceni? Czy mogą one – Pańskim zdaniem – dorównać „Biblii realizmu magicznego” czyli „Stu latom samotności” Marqueza?

Nie wiem, czy przypomnę sobie dokładne nazwy polskich przekładów… Kalina Wojciechowska przetłumaczyła utwór Alejo Carpentiera „Podróż do źródeł czasu”. Uważam, że to jest znakomita powieść. Tam pokazana jest próba cofania się. Byłem w Wenezueli i trochę przyglądałem się krajobrazowi. Jest to, oczywiście, ogromny kraj, ale wystarczy na przykład znaleźć się w Caracas, pojechać jeszcze sto kilkadziesiąt kilometrów do jakiejś miejscowości i wejść do wiecznie zielonego lasu, aby mieć pewne pojęcie o przyrodzie, o ziemi, która rozpościera się dalej na południe, i przechodzi w sawanny, tzw. *llano*, czyli równiny, przez które płynie rzeka. Tą rzeką trzeba wstępować w górę i cofać się w czasie… Obok Carpentiera należy koniecznie wymienić Argentyńczyka Ernesto Sabato…

… autora powieści „Bohaterach i grobach”.

Bardzo popularna jest też jego krótka powieść „Tunel”. Potem Julio Cortazar…

W latach 70. i 80. eksperymentalna „Gra w klasy” Cortazara była w Polsce niemal kultową powieścią ówczesnego pokolenia. Podobnie zresztą jak proza realizmu magicznego, ukazująca świat poprzez pryzmat prekolumbijskich wierzeń. „Zachłyśnięcie się” tą literaturą, będące w pewnej mierze rodzajem antidotum na szarą rzeczywistość ówczesnej epoki, jest już chyba sprawą przeszłości. Późniejsze pokolenie młodych czytelników wolało czytać Williama Whartona.

Cóż robić? Szkoda, bo była to jednak inna, wielka literatura, świadcząca o tym, że Ameryka Południowa dojrzała, doszła w powieści do szczytów artyzmu. Powinniśmy wymienić tu jeszcze Carlosa Fuentesa; kilka jego powieści kwalifikowałoby się do tego kanonu.

I oczywiście, jeszcze jest Juan Rulfo, autor jednej właściwie powieści „Pedro Paramo”, zaliczanej do arcydzieł literatury światowej. W Polsce – mimo znakomitych przekładów – prawie nieobecny.

Bardzo dobrze znam okolice, w których urodził się Juan Rulfo i które stanowią tło jego powieści. Jest to Colima nad Pacyfikiem,

jeden ze stanów Meksyku. Podróżowałem tam wiele razy. Autobusami, które jeżdżą szesnaście godzin, bez wody, w tłumie ludzi – męczyłem się, bo chciałem koniecznie napisać o *cristeros****[1]***. Wielokrotnie rozmawiałem z ich byłymi przywódcami, wtedy już wiekowymi. Rulfo także wspomina te oddziały, częściowo ze względu na swojego ojca, który zginął w czasie rewolucji. Wydarzenia z tamtego okresu do dzisiejszego dnia stanowią w historii Meksyku sporny i wstydliwy problem dla obu stron, i dla państwa, i dla kościoła. Hierarchia kościelna ugięła się bowiem, paktowała… A wojna była niezwykle krwawa. Posiadam fotografię, na której rządowi żołnierze trzymają odrąbane głowy *cristeros*… Niestety, nie pozwolono mi o tym pisać. Temat był ideologiczny, a wtedy, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wszystkim rządziła lewica, i każdy nie-lewicowy temat „ubijano" nawet w Kanadzie, gdzie zamieszkiwało sporo Meksykanów. Żeby więc jakoś usatysfakcjonować swoje plany, których nie mogłem zrealizować, przetłumaczyłem powieść meksykańskiego pisarza Jesusa Goytortua „Zadumana", z 1945 roku. Jest to tzw. powieść popularna, z wyeksponowanym wątkiem romansowym, obfitująca w niezwykłe wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji. Czyta się ją znakomicie, ale co najistotniejsze – przedstawione w niej zostało tło wojen religijnych przełomu lat dwudziestych w Meksyku.

Czy podczas swoich podróży po Meksyku spotkał Pan Juana

Rulfo?

Chodziłem śladami Rulfo. Mój znajomy poeta i tłumacz, Jan Zych, mieszkający w stolicy Meksyku, wskazał mi kawiarnię, w której Rulfo często bywał. Chodziłem do tej kawiarni, ale niestety, nigdy nie udało mi się tego pisarza spotkać. Zmarł w 1986 roku.

W powieściach realizmu magicznego fascynująca jest dla nas przede wszystkim odmienność kulturowa, na którą składają się m.in. ukryte pod powierzchnią chrystianizmu – elementy prekolumbijskich wierzeń. Takie na przykład, jak wiara, że śmierć stanowi przedłużenie życia, a grzechy są wędrującymi bytami… Czy zetknął się Pan z przejawami minionych kultur?

Meksyk jest ogromnym krajem i w jego oddalonych zakątkach utrzymują się jeszcze prekolumbijskie wierzenia. Ale z pewnością nie w pobliżu wielkich miast, jak Meksyk czy Guadalajara. Można jednak podać przykłady społeczności indiańskich, które nie znają języka hiszpańskiego, bo żadne wpływy kulturowe do nich nie dotarły. Indianie ci żyją w takim odosobnieniu, że nie ma żadnych dróg, którymi można by do nich dotrzeć; jedyną możliwością pozostaje lot helikopterem. Niedawno odkryto na Jukatanie piramidy, o których nikt nie słyszał, które nieznane były nawet Hiszpanom. Dżungla wszystko przykryła, i potomkowie Kolumba nigdy nie postawili tam stopy…

Odwiedziłem kościół San Juan w miejscowości Chamula w prowincji Chiapas, tuż przy granicy z Gwatemalą (ten sam Chiapas, w którym wybuchło powstanie Indian). Jest to kościół „niby-katolicki", albowiem przechowuje jeszcze wiele pogańskich zwyczajów. Zamordowano w nim turystę, który wszedłszy do środka, natrząsał się z zachowania tubylców. Przychodzili oni do tego kościoła całymi rodzinami, posypywali „świętą trawą" podłogę, na której siadali, jedli obiady, dawali jedzenie duchom, pili, palili świece – słowem, urządzali „dziady". Takich „niby-katolickich" świątyń jest oczywiście w Meksyku więcej; a jednocześnie Kościół nie walczy z pozostałościami dawnych religii, uważając zapewne, że lepsze „coś" niż nic… To właśnie byłby przykład – znanego mi z autopsji – „extremum", ale już na granicy świata rozumianego przez nas, chrześcijańskiego.

Marquez w jednym z wywiadów przekonywał, że wszystko, co zawarł w „Stu latach samotności" zakorzenione jest w realnej rzeczywistości: deszcz żółtych kwiatów, duchy zmarłych błądzące po domu, wniebowstąpienie pięknej Remedios…

Powiedzieć, że pewnego dnia dziewczyna zaginęła, by później pojawić się w miasteczku, gdzie jest bufetową albo gorzej – niedobrze brzmi. Natomiast obraz dziewczyny unoszącej się w powietrze, w łopocie prześcieradeł – jest niewątpliwie piękny. Marquez napisał kiedyś, że do ósmego roku życia wiódł bardzo

bujną egzystencję – tyle rzeczy mu się wydarzyło… A potem? Już mało. I co tu jest prawdą, a co jest mistyfikacją? Co dorzucili inni?

W jednym z wywiadów opowiadał też, jak po śmierci pułkownika Buendii, bohatera swej najważniejszej powieści, zamknął się w pokoju i przez dwie godziny płakał… Granica pomiędzy realnością i fikcją staje się więc płynna, umowna…

Kiedyś z Polski pozdrowiłem e-mailem sekretarkę dziekana w Ontario słowami „czekamy na wiosnę, wnet przylecą bociany". Odpowiedź brzmiała: „a bocian to jest ptak miejski, czy wiejski, i skąd on ma przylecieć?" Okazuje się, że to, co dla nas jest codziennością, dla innych stanowi egzotykę. Jeśli jakiś pisarz wykorzystałby na przykład obraz przylatujących bocianów w powieści, i powieść tę przeczytaliby, powiedzmy, Eskimosi, mogliby zakrzyknąć: „ależ to jest realizm magiczny, nie z tej ziemi!" Ameryka Południowa posiada jeszcze nie tylko obszary dziewicze, nietknięte ludzką stopą, ale i zjawiska, które w literaturze mogłyby z łatwością przeistoczyć się w elementy „rzeczywistości cudownej". Na przykład motyle, które wracają do Meksyku całymi chmarami (między innymi, z Kanady). Zdarzają się chmury motyli tak wielkie, że potrafią zaćmić słońce. W pewnym momencie staje się ciemno, bo przelatują motyle. Natomiast kiedy w Kanadzie przelatują kaczki, Amerykanie przez

trzy dni mają perturbacje samolotowe: wszystkie radary szumią, ponieważ miliony kaczek leci. Nie trzeba zatem wiele, aby podobne zdarzenia przekształcić w literaturze w coś bardzo cudownego, a jednocześnie rzeczywistego.

Jak Pan ocenia te książki Marqueza, które pojawiły się po „Stu latach samotności”? Światowym bestsellerem była „Miłość w czasach zarazy”.

Moja miłość pozostała przy „Stu latach samotności”. Później Marquez zbierał to, co nie weszło do tej powieści. Na samym początku pisarskiej kariery posiadał wielki zwój papieru, rulon fantastycznej prozy, z której wyłoniły się aż trzy osobne powieści. Cięcie mogło nastąpić w dowolnym miejscu. Jemu było jednak żal tego, co odpadło. A skoro wątek erotyczny zawsze ludzi interesuje…

„Kronika zapowiedzianej śmierci”, która powstała po „Stu latach samotności” (chociaż oparta była na faktach, dużo wcześniejszych) jest również niezwykłym opowiadaniem…

Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju pesymistycznej, ciemnej atmosfery, istnieją bowiem precedensy w literaturze hiszpańskiej. Na przykład ostatni Noblista hiszpański Camilo Jose Cela, a przedtem Pio Baroja, który pisał podobnie pesymistyczne, ciemne i trudne książki, i w jakimś sensie był

uważany za mistrza, i przez Hemigway'a z jednej strony, i przez Celę z drugiej. Sam umarł ubogo, szaro… Za życia powiadał: „jestem zbyt biedny, żeby nie pisać; muszę z czegoś żyć, więc piszę. Gdybym miał pieniądze, to bym nie pisał". A poza tym to wszystko powraca do nurtu realistycznego, pikarejskiego, który w tradycji literatury hiszpańskiej jest bardzo mocno zakorzeniony. Natomiast ludzie spoza tego kręgu kulturowego odczuwają to niezwykle dobitnie. Mówiąc o Celi, użyłem słowa „turpizm"; Hiszpanie mają słowo „tremendismo" od przymiotnika „tremendo" (straszliwy, upiorny, niesłychany). Najdziwniejsze może było to, że ten prąd powstał po wojnie domowej, kiedy ludzie w Hiszpanii zaczęli się już nieco bogacić. Jak zasiadali wieczorem do kolacji (a jada się tam kolację, jakieś dwie godziny przed północną), wówczas radio nadawało kolejne odcinki mrożących krew w żyłach powieści Celi. Żeby „burżujów" trochę podrażnić…

Nie odbierałabym jednak powieści Marqueza – mimo fatum ciążącego niezmiennie nad ich powieściowym światem – jako mrocznych i pesymistycznych. Proza Juana Rulfo jest z pewnością o wiele bardziej mroczna, bo jest pozbawiona tego elementu humoru, czy „ironii magicznej", który cechuje styl autora „Stu lat samotności". To świat jakby wstrząsany deszczem, straszliwy i niespokojny…

Sądzę, że to wynika z osobowości tego pisarza. Marquez

natomiast bawi się literaturą.

…a osobowość Juana Rulfo ukształtowało cierpienie, jakiego doznał w dzieciństwie: utrata obojga rodziców, bieda…

Poza tym w Meksyku śmierć wydaje się wszechobecna, „łatwo dostępna", wszędzie widziana. Przecież kiedy Meksykanie celebrują dziady, to dosłownie wszyscy idą na cmentarz, siedzą tam, piją. Z drugiej strony, istnieje tak charakterystyczne dla kultury tego kraju – prześmiewanie się ze śmierci, łagodzące, być może, jej okrucieństwo. Wystarczy spojrzeć na cukierki, w kształcie czaszki czy kościotrupa.

Właśnie. Natomiast dla autora „Miłości w czasach zarazy" – „to nie śmierć, ale właśnie życie nie ma granic"… Czy nurt realizmu magicznego uznaje się za bezpowrotnie wyczerpany?

Nie można przesadzać w niczym. Literatura Ameryki Łacińskiej jest inna, i dlatego zafascynowała nas swoją innością. Natomiast podawanie tych samych rzeczy po raz drugi i trzeci, przez „małych mistrzów", trąci trochę uzusem.

Realizm, aby mógł pozostać realizmem, odzwierciedlającym rzeczywistość, nie może przecież

wpisywać się w istniejące już od dawna konwencje. W trakcie naszej rozmowy wspomniał Pan o swoim przekładzie meksykańskiej powieści „Zadumana". Tłumaczył Pan, obok wielu innych powieści oraz sztuk, także utwory poetów hiszpańskich i arabskich. Na uwagę zasługuje szczególnie dzieło hiszpańskiego Noblisty Juana Ramona Jimeneza „Srebroń i ja". Wydaje mi się, że ten poeta, podobnie jak Rulfo, pozostaje w Polsce nie doceniony.

Juan Ramon Jimenez był znakomitym poetą, lirykiem. Trudności z przełożeniem jego utworów są ogromne i to one skazują go na niedostateczną popularność poza granicami języka hiszpańskiego. Za to jego urocza proza poetycka „Srebroń i ja" podbiła cały świat i fascynuje prawdziwych miłośników literatury.

Jakie są Pańskie plany przekładowe?

Powinniśmy byli, jak sądzę, wspomnieć także o moim przekładzie ważniej powieści meksykańskiej „Los de abajo", którą wydało Wydawnictwo Literackie pod tytułem „Gniew". Jest to prototyp tzw. powieści rewolucyjnej, gatunku prozy o niesłabnącej żywotności, gdyż można do niego zaliczyć także powieść Carlosa Fuentesa „Śmierć Artemia Cruz". Mariano Azuela w 1915 roku wydał jej pierwowzór wplatając do jej wątku osobiste

wspomnienia, gdyż służył jako lekarz pod jednym z watażków w pierwszej fazie walk rewolucyjnych.

Aby zaznajomić się z topografią walk opisywanych w powieści, zjeździłem lokalnymi autobusami okolice San Jose de los Lagos, a stamtąd pojechałem do Zacatecas. W Wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu wyszedł mój wybór legend i listów literackich hiszpańskiego pisarza i poety romantycznego Gustavo Adolfo Becquera w wersji dwujęzycznej. W planach jest przekład aforyzmów siedemnastowiecznego jezuity hiszpańskiego. Ale przyszłość jest zawsze bardziej lub mniej zakryta.

_____

[1] *cristeros* – meksykańscy powstańcy katoliccy, głównie chłopi, walczący w latach 1926-1929 oraz 1934-1937 przeciw antyklerykalnym rządom liberałów w obronie wiary, praw i przywilejów kościoła katolickiego.

Wywiad pochodzi z książki: Beata Tarnowska, Wokół Kontynentów. Szkice i rozmowy z poetami, wyd. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, 2011 r., s. 186-194.

Wyznania tłumacza

Florian Śmieja

O istocie i funkcji przekładania literatury napisano wiele i każdy z nas naczytał się sporo teoretycznych wypowiedzi bardziej lub mniej przekonywujących i pomocnych. Nie znaczy to, by nie można było do nich dorzucić okruchów własnych percepcji i doświadczeń.

Tłumaczę już kilkadziesiąt lat. Od dziecka fascynowały mnie manipulacje słowem, nęciły wyzwania, by z obcych języków

tworzyć wersje rodzime, przyswojone, choć właściwie nie miałem po temu sprzyjających warunków. Pierwszym moim językiem była gwara śląska, opolska pomieszana z katowicką, jak wiemy, nieskodyfikowana, o mizernej literaturze, wyśmiewana i tępiona przez polonistów, a potem przez różne odcienie gorliwców i nietolerancyjnych kolonizatorów.

W domu rodzinnym nie zaznałem kindersztuby inteligenckiego gaworzenia ani kultu książki. W wiejskiej szkole podstawowej wzrastałem w przeciętnym środowisku rówieśników, dzieci górników, robotników i bezrobotnych, równie jak ja społecznie uwarunkowanych. Owszem, nauczyciele, których z perspektywy odległego czasu nie potrafię sprawiedliwie osądzić, próbowali nauczyć języka oficjalnego, a nawet zachęcić, jak to było w moim wypadku, do wydawania gazetki ściennej. Zasadniczo jednak inteligenckie odzywanie się przybyłych na nasze ziemie nauczycieli do małych dzieci mówiących gwarą – *widzę że miasto sprzyja wzrostowi* – zamiast – *wyrosłeś w mieście*, wywoływały konsternację i lęk powodujące raczej zahamowania niż harmonijny rozwój języka.

Kiedy bardzo wcześnie usiłowałem spolszczyć teksty łacińskie i niemieckie, były to prawdziwe wycieczki z motyką na słońce, gdyż dysponowałem zaledwie słabiutkimi zasobami języka docelowego, tj polszczyzny literackiej. Ten język należało koniecznie wzbogacić.

Ale przyszła wojna, znalazłem się daleko od własnego społeczeństwa, inne języki rozlegały się dokoła. To wszystko nie wpływało dodatnio na moje aspiracje, z którymi trzeba było poczekać do innych czasów. Pomocna była, owszem, lektura. Wcześnie też zrozumiałem, że ważną rolę mogły spełniać przekłady na język polski, które pomagały usprawnić i wzbogacić warsztat, dając okazję do systematycznego wysiłku i częstego zaglądania do słownika, by przyswoić sobie słowa, synonimy, oboczności, idiomy.

Jednym z tekstów, którym wcześnie się zainteresowałem był tom hiszpańskiej prozy poetyckiej „Platero y yo" (Srebroń i ja). Spotkałem się z nim w późnych latach czterdziestych na studiach w Irlandii. Ponieważ proza ta podzielona była na sto kilkadziesiąt niewielkich rozdziałków, robiła wrażenie lektury łatwej. Dopiero po bliższym zapoznaniu się z tymi miniaturami wielkiego kunsztu poety-malarza przekonałem się o złożoności tekstu. Odcienie kolorów, różnorodność flory i fauny, malowanie nastroju, specyfika regionu okazały się nie lada wyzwaniem dla mało przezornego śmiałka, który brał się do przyswojenia arcydzieła literatury światowej swojemu językowi. Musiał np. niezwłocznie dopracować się rozległego spektrum malarskiej palety, ale przede wszystkim zobaczyć kraj poety, by ujrzeć na własne oczy jego świat i umieć go jednoznacznie wyrazić.

Pamiętam, jak nie potrafiąc zidentyfikować ptaka o lokalnej

nazwie, pojechałem do andaluzyjskiego Moguer skąd pochodził autor, Juan Ramón Jimenez, by na miejscu ten problem i inne podobne, zadowalająca rozwiązać. Szczęśliwym trafem znalazłem martwego ptaka pod jednym z drzew koło cmentarza i zacząłem wędrować od domu do domu pytając o jego nazwę. Mieszkańcy miasteczka wcale nie okazali się pomocni. Na pytanie, co to jest? – popatrzyli i mówili, że ptak. Ale jaki ptak? No, dodawali, mały ptaszek. Kto jednak przejechał kilka tysięcy kilometrów, by znaleźć się na ziemi poety, łatwo nie rezygnował. Tłumacz sumienny nie może się dać zniechęcić. Szukałem i pytałem dalej wytrwale. Skoro Jimenez zanotował wiele specyficznych szczegółów rodzinnej ziemi i umieścił w określonym czasie, należało je dokładnie poznać. Dlatego też po wiadomości na temat dawnego sposobu wypiekania chleba poszedłem do piekarza, który będąc osobą w starszym wieku pamiętał jeszcze zwyczaje sprzed lat. Cierpliwie mi wyłuszczył sekrety minionych procedur rzemiosła, uczynnie zapoznał z recepturą i nazwami pieczywa zachowanymi na stronach książki Jimeneza i ledwo już tylko pamiętanymi przez starych majstrów. Musiałem na oczy zobaczyć jeszcze starą sosnę, choć już zwaloną przez piorun, być o świcie w miasteczku w dzień wyruszenia na pielgrzymkę ustrojonych dwukołowych wozów do niedalekiej miejscowości El Rocio. To są korzyści płynące z autopsji.

Tytuł książki też ma swoją historię. Sam zaś utwór należy do tych, które można bez końca cyzelować i doskonalić. Jeżeli

tłumaczenie opublikuje się wraz z tekstem oryginału, można zobaczyć warsztat tłumacza, oglądać jego uniki czy zamierzone odchodzenie od tekstu. Słowem: epifania rzetelnie pojmowanej roboty.

Powieść Luisa Martineza Santosa wzięła rozbrat z panującą podówczas w Hiszpanii prozą socrealistyczną zwaną u nas „produkcyjniakami", uproszczonymi, zafałszowanymi w konsekwencji wizerunkami świata ukazującego w tendencyjnym świetle bytowanie tzw. proletariatu. Te powieści zawładnęły hiszpańskim rynkiem na jakiś czas i były szeroko kolportowane w byłym obozie socjalistycznym.

Złożoność powieści „Czas milczenia" – „Tiempo de silencio" i wyjątkowo trudny język – splot potocznej mowy madryckich przedmieść z językiem medycyny, elementy surrealistyczne i poetyckie stworzyły zagęszczenie lingwistyczne i stylistyczne łamańce, przez które trzeba się było mozolnie przebijać. Do tego autor już nie żył, bo zginął w wypadku samochodowym, nie mógł więc już objaśnić miejsc szczególnie uciążliwych dla tłumacza. W takich specyficznych wypadkach niewiele dawały konsultacje rodaków pisarza, równie jak tłumacz zagubionych, a często uważających za punkt honoru, by jednak dać jakąś odpowiedź. Tu radzę rozwagę. Tłumacz pozostaje sam ze swoim problemem, z kamieniem młyńskim u szyi, aczkolwiek również z ambitnym wyzwaniem i swoją intuicją wzbogaconą bliskim współżyciem z

tekstem. Nie pomaga też krótki termin jego zadania.

Tłumaczem tej książki stałem się przypadkiem. Spytany o opinię przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, powieść gorąco poleciłem, wydawnictwo zakupiło prawo do przekładu, lecz nie potrafiło znaleźć tłumacza, który chciałby się podjąć zadania. Zwróciło się do mnie, bym je wybawił z kłopotliwej sytuacji. Reszta jest – jak mówią – historią, aczkolwiek myślę o tej zaszłości bez entuzjazmu. Chociaż przekład znalazł swoich entuzjastów, ja do tej książki nie zaglądam. Stoi na półce.

Pokusiłem się o przyswojenie wyboru legend i listów literackich celebrowanego poety romantycznego Hiszpanii, Gustawa Adolfa Becquera. Pisarz ten znany w swojej ojczyźnie przede wszystkim z niedościgłych liryków, jest w tej książce narratorem tradycyjnych i twórcą własnych podań. Powiedział sam wyraźnie, że:

> Niełatwo rozróżnić to, co wyśniłem, od tego, co mi się wydarzyło.

W przekładzie starałem się odtworzyć subtelność uczucia bez popadania w sentymentalność, chciałem też, by mając w ręku listy literackie, polski czytelnik czuł, że posiadł klucz do liryki Becquera, nadal czekającej na kongenialne oddanie w języku

polskim.

Innym utworem klasyki hiszpańskiej, który mnie urzekł, to szesnastowieczna nowela sentymentalna o mauryjskiej tematyce – Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy – krążąca również pod tytułem Abencerrag. W tym wypadku mamy do czynienia z wczesną perłą prozy kastylijskiej, z podaniem o rycerskości kombatantów na płynnej granicy chrześcijańsko-muzułmańskiej w Andaluzji. Aczkolwiek przedstawionych adwersarzy różni rasa, narodowość i religia, łączy ich etos szlachetnego człowieka, który w końcu zwycięża.

Dla tłumacza pewne wyzwanie stanowił nie tylko język epoki, ale również dworska dykcja używana nie tylko w dialogach, ale również w cytowanych listach, a także kwiecisty styl wynurzeń kochanków, sentymentalność, ale nie łzawość. Aczkolwiek wizerunek obu obozów ogranicza się do elity, do reprezentantów przednich rodów, przesłanie opowieści jest szlachetne i daje przykład wzniesienia się ponad uprzedzenia i zwyczaje epoki. Jaśnieje nie tylko postać bohaterskiego hiszpańskiego wodza, ale także ogłada i cnota arabskiego przeciwnika. Obaj zasłużyli na miano człowieka.

Wymienię tu także dwie powieści meksykańskie przeze mnie przełożone i drukowane w Krakowie i Wrocławiu. Tłumacząc literaturę dawnej kolonii, przechodzimy z języka macierzystego,

kastylijskiego, do języka byłych posiadłości imperialnych, nieco innego w słownictwie, idiomach, stylu, o odrębnej ewolucji i funkcji, słowem, mamy do czynienia z odmiennym medium różniącym się bardzo od języka-bazy, w tym wypadku hiszpańskiego, tak jak inaczej musielibyśmy podchodzić do tekstów literatury amerykańskiej w kontraście z dziełami pisanymi przez Brytyjczyków.

Pierwsza z tych powieści to „Gniew" Mariana Azueli, w oryginale „Los de abajo". Jest to oryginalna powieść o rewolucji i prototyp gatunku. Sądzę, że bardzo mi pomogła wyprawa w okolice, w których rozgrywała się akcja powieści. Spod Guadalajary pojechałem autobusem do Zacatecas pilnie studiując krajobraz i ludzi, by tłumaczenie szło gładko. Jestem przekonany, że zaoszczędziłem sobie wielu wahań i wertowania słowników znając krajobraz z autopsji. (Tu może napomknę o wczesnym tłumaczeniu z języka angielskiego książki o Fatimie, która ukazała się bodaj w 1956 roku w Londynie i w Polsce była ulubioną książką UB, bo jej szukało nawet w bibliotekach klasztornych). Otóż, w tekście angielskim słowa *hill, mountain, elevation, hight* mogły znaczyć różne rzeczy: górę, wzgórze, wzniesienie, pagórek, kopiec – a ja, nie znając Portugalii, musiałem w ciemno decydować, którego słowa użyć. Nie jest to komfortowa sytuacja i jak tylko było to możliwe, pojechałem do Fatimy, by zobaczyć na własne oczy to, co znałem tylko z tekstu i z jednego tekstu wkładałem w drugi. Ale przekład już się wtedy

ukazał, więc to co sknociłem, pozostało. (Pewnie każdemu tłumaczowi zdarzają się fatalne potknięcia, mimo ustawicznego dzierżenia się na baczności. Pół biedy, jeżeli wydawnictwo, z którym współpracuje, zatrudnia wytrawnego i doświadczonego redaktora, którego smykałka i erudycja w lot błąd wychwycą i poprawią. Najczęściej jest jednak inaczej, pomyłkę utrwali druk, a choć może czytelnik go nie zauważy, pamięta o nim autor do końca życia. Jedną z moich przykrych wpadek było odczytanie z dużej litery pisanego angielskiego słowa *Quinquireme*, jako imię własne zamiast *pentera* w wierszu Johna Masefielda w trzytomowej „Antologii poezji angielskiej" wydanej przez PIW. Chochlik także sprawił, że nagle pisząc o srebrnym osiołku Srebroniu nazwałem go złotym, sprawiając wymarzoną niespodziankę krytykowi. Nie na próżno mawiał redaktor Mieczysław Grydzewski, by sprawdzać i sprawdzać bez końca. Raz jeszcze porzekadło, by jechać koniecznie do krainy poety, którego chcemy zrozumieć, okazało się ważne. I nadal taki wojaż każdemu tłumaczowi polecam.

Druga powieść meksykańska, która przeszła przez mój warsztat była popularną powieścią z czasów *cristeros*, katolickich powstańców, którzy walczyli z rządem narzucającym siłą ateizm. Tło geograficzne poznałem w czasie pobytu w zachodnim Meksyku, a także od wielu górali, którzy brali udział w walkach. Odwiedzałem ich w ich wioskach i długo z nimi rozmawiałem. Ta przygodowa historia dwojga kochanków należy do łatwych

czytanek, których nie sposób odłożyć, bo wciągają nie roszcząc sobie żadnych pretensji do nowatorstwa i wyrafinowanych technicznych zdobyczy. Uważałem, że i takie książki należy tłumaczyć, szczególnie z języków mniej w Polsce dostępnych. Mój przekład ukazał się jako „Zadumana" w prywatnym wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu. Było to niestety wydawnictwo bez siły przebicia, choć ambitne, lansując szereg znakomitych pozycji wydawniczych.

Na minutę zatrzymam się przy krótkiej powieści, którą tłumaczyłem z języka portugalskiego na polski. Myślę o „Misji" Ferreiry de Castro. Przełożywszy i wydawszy ją jako pozycję serii Jednorożca w Państwowym Instytucie Wydawniczym, zobaczyłem ją później jako sztukę pasującą na tamtym etapie ideologom PAX-u. Zrobienie z powieści scenariusza i wprowadzenie na scenę bez wiedzy tłumacza było sprawką ówczesnych działaczy kulturalnych.

Jestem też autorem polskiej wersji wybranych liryków arabsko-andaluzyjskich wydanych po raz pierwszy po hiszpańsku w latach czterdziestych ubiegłego wieku przez wybitnego arabistę Emilia Garcia Gomeza. Utwory te napisane w języku arabskim powstały w średniowiecznej Andaluzji i ich ułomki zachowały się do naszych czasów, by przetłumaczone na hiszpański zadziwić świeżością, delikatnością i wielkim kunsztem poetyckim. Są one owocem orientalnej tradycji i hiszpańskiego krajobrazu: kasydy i

gazele, ody i erotyki sławiące miłość, noc, biesiady, wodę, oręż i konie.

Okładki tłumaczonych książek.

Przekładanie nie z oryginału zmusza do używania tekstu pośredniczącego za wzór podstawowy, tzw. rybki. On dyktuje nie tylko treść, ale i formę. Jest to kompromis nie do ominięcia. Dla mnie, nie znającego języka arabskiego pierwowzoru, nie było innego wyjścia. Zawierzyłem we wszystkim uczonemu arabiście hiszpańskiemu, a w czasie wymiany listów z nim, ambasadorowi

w Bagdadzie, trzymałem się go ściśle, nie dopuściłem się żadnej redukcji ani amplifikacji sądząc, że w ten sposób nie popełnię żadnych ekscesów, a polski czytelnik jednak odczuje smak tej niezwykłej, sędziwej liryki.

Zachowałem też pieczołowicie nazwiska średniowiecznych autorów oraz daty ich życia i twórczości. Skoro nie była to poezja anonimowa, uważałem, że należy zachować jej osobliwość i wyróżniające cechy. Łobodowski natomiast, który również się kasydami i gazelami zainteresował, wymyślił teorię zgodnie z którą poezja arabska była domeną publiczną, a polegała na przetwarzaniu motywów powszechnie znanych, gdzie normalne były zapożyczenia. Ceniło się sprawność z jaką poeta z zastanych elementów potrafił zestawić zaskakujący utwór. Ważna była maestria, a nie oryginalność. Tylko zachodzi pytanie, czy polski pisarz, nie znający języka arabskiego, nawet jeśli mieszkał w Hiszpanii, może twierdzić, że obraca się w kręgu i klimacie średniowiecznej arabskiej poetyki i jej bardów? Wolno mu brać od nich bezkarnie utwory i wtrącać je w anonimat, w imię jakiejś kapryśnej teorii przywłaszczyć sobie cudzą pracę?

Próbowałem też przekładać z języka polskiego na język hiszpański. Kiedy zebrała się kolumna przetłumaczonych aforyzmów J.S. Leca, drukowałem ją w czasopismach hiszpańskich, kolumbijskich czy meksykańskich. Pokusiłem się później o mały wybór i moje wysiłki zostały ukoronowane

książeczką „Pensamientos desmelenados”, którą w roku 1985 w nakładzie czterech tysięcy wydała meksykańska *Universidad Autonoma*. Innym eksperymentem było przekładanie, względnie współpraca nad przekładem własnych wierszy. Czytając takie angielskie wersje nieodmiennie czułem inność tonacji tych wierszy. Napisałem nawet wiersz czy dwa po angielsku chwyciwszy widocznie falę, ale był to wyjątek nie rokujący żadnej nadziei na obfitsze żniwo.

Byłem na kilku ogólnopolskich konferencjach przekładowych w Krakowie. Jedna z nich obrała sobie prowokacyjny tytuł „Czy zawód tłumacza jest w pogardzie?” Chodziło w zasadzie o tłumacza literatury pięknej. Odpowiedzi były raczej pesymistyczne. Ogólnie przyznawano, że to już nie te czasy, kiedy „Psałterz” był Jana Kochanowskiego, „Jerozolima wyzwolona” Piotra Kochanowskiego, „Dworzanin” Górnickiego, a „Książę niezłomny” był Juliusza Słowackiego.

Tłumacz dzisiejszy, stwierdzono, pracuje w innej zupełnie sytuacji. Rzadko kiedy tłumaczy sobie a muzom: najczęściej jest na etacie. Kontraktuje go wydawca, który u niego zamawia tłumaczenia i płaci mu, niewiele, ale płaci.

Inaczej zgoła ma się tłumacz z Bożej łaski. Polubi tekst, przekłada *con amore,* ale najczęściej bez komercyjnego powodzenia. Po pierwsze, nie podpisał kontraktu, więc może się

okazać, że nie otrzyma praw autorskich, albo że już się spóźnił i ubiegł go ten, co rutynowo pracował na zamówienie.

Wiem o czym mówię, bo przełożywszy chilijską sztukę „Papierowe kwiaty” i mając w kieszeni pozwolenie autora, zobaczyłem tę samą sztukę nieco później wydrukowaną w „Dialogu”. Przekładu dokonała pani, która nie posiadała autoryzacji, ale znalazła łatwy dostęp do miesięcznika, zdawało by się poważnego czasopisma fachowego, dbającego o zachowanie dobrych manier wydawniczych. Drukując sztukę rzutka osoba dostarczyła gotowego tekstu reżyserom teatrów i przesądziła sprawę. Piractwo? Nowe metody?

Skoro o złych zachowaniach mowa, to do kolekcji dorzucę jeszcze jeden rodzynek. Bawiąc kiedyś w Warszawie rozmawiałem o wspomnianej już uprzednio, a przełożonej z języka portugalskiego krótkiej powieści Ferreira de Castro „Misja”. Mój rozmówca przytaknął mówiąc, że o takiej sztuce słyszał. Poprawiłem, że to była proza, ale okazało się, że on miał rację. Pokazał mi repertuar teatrów warszawskich. Istotnie Teatr Propozycje grał sztukę Ferreira de Castro. Ponieważ wystawienie zorganizował „Pax”, poszedłem się poinformować o sprawie.

Okazało się, że Teresa Sobańska-Dąbrowska adaptowała powieść i zrobiła z niej tekst sceniczny. Pamiętam, że reżyserowała

sztukę Magda Teresa Wójcik, a grali m.in. Henryk Boukołowski, Piotr Brzeziński, Krzysztof Kalczyński, Cezary Kapliński i inni. Zapanowała chwilowa konsternacja, a potem ratowanie sytuacji. Na pamiątkę dostałem wydrukowane zaproszenie. Widniało na nim nazwisko autora i sprawczyni scenariusza. Zgodnie z takimi praktykami mojego nazwiska nie było. Wręczono mi natomiast wiązankę kwiatów na pocieszenie, tysiąc złotych i bilet na przedstawienie 17 grudnia 1974 roku. Nie wiem czy i jak załatwiono sprawę z wydawnictwem PIW, w którego serii Jednorożca ukazał się w 1972 roku mój przekład.

Może warto jeszcze dodać, że tłumacz żyjący na emigracji miał nie tylko spóźniony start i najczęściej ubiegali go lokalni ludzie, ale ponadto nie liczył się w oczach naukowców i krytyków lojalnych wobec władz, a tych nie brakowało. Piszący o Jimenezie z lekkim sercem odpisywał na straty trud Łobodowskiego uważając, że nasze przekłady nie były ważne, skoro mieszkaliśmy na emigracji. Nie przyszło tym naszym ówczesnym krytykom do głowy, że w jednym wypadku wynosili trwanie Jimeneza do śmierci poza Hiszpanią, a w drugim ganili rodaków za przebywanie na obczyźnie. Tłumacz literatury pięknej jest jednym z jej największych miłośników, bo pracuje za marne pieniądze, jeśli nie za darmo, poświęca wiele trudu dla sprawy dokładając nieraz do wydawnictwa. Bardzo często oddaje swój przekład za darmo, ciesząc się, że się ukazuje drukiem. Przekład bywa niekiedy hołdem zapalonego wielbiciela. Kiedy na początku

dziewiętnastego stulecia zapanował kult hiszpańskiego dramaturga Calderona, Juliusz Słowacki nauczył się języka hiszpańskiego, by wyczarować genialny przekład i stać się współautorem „Księcia Niezłomnego”. Przekład każdego wybitnego dzieła literackiego jest znakomitym wkładem nowej energii w rodzimą literaturę. Mamy przykłady licznych emigrantów, wkładających wiele wysiłku i pieniędzy, by zostawić taki legat i starannie deponujących egzemplarze w archiwach i wielkich bibliotekach zagranicznych. Paradoksalnie więc, w ten sposób jest propagowana literatura piękna, a satysfakcja z obcowania z tekstem znaczącym i zadowolenie z przyswojenia językowi polskiemu obcego dzieła, to wszystko czego może spodziewać się tłumacz. Bo zazwyczaj, jeżeli już ukaże się omówienie książki, najczęściej nie znajdziemy nawet nazwiska tłumacza, a tym bardziej oceny wysiłku, jaki włożył w swoją pracę, a bez którego książki by po prostu po polsku nie było. Ileż to razy przekład jest rekreacją i świetnym dziełem, pomyślmy tylko o mistrzostwie Boya-Żeleńskiego, o Słowackim.

Nie znaczy to, by nieprzeciętnych tłumaczy nie było i dziś. Niektórzy z nich właśnie dzięki przekładom z literatury zasłynęli i zdobyli pozycję, zaszczyty i godności. Myślę tu o Karlu Dedeciusu.

Poszczęściło się polskiej literaturze, że Dedecius, który zaczynał od tłumaczenia Rosjan, szczególnie upodobał sobie polską

poezję. W tekstach polskich znalazł właściwe natchnienie, które stało się początkiem wyjątkowej kariery. Na początek ułożył antologię „Lekcja ciszy” (Lektion de Stille) i wydał ją w 1959 roku. Znalazło się w niej 36 poetów z kraju i emigracji. Antologia stała się wielkim sukcesem i miała kilkadziesiąt omówień w czasopismach w Niemczech.

Dobrze pamiętam okoliczności powstania tej antologii, gdyż w Londynie otrzymałem list tłumacza z prośbą o pomoc. Współpraca z nieznajomym Niemcem nie znajdowała w owych czasach wielu zwolenników ani w kraju ani za granicą. Z przyzwoleniem Józefa Jaksińskiego, który posiadał bogaty zbiór poezji, przygotowałem trzy paczki książek i wysłałem 30 zbiorów wierszy do Niemiec. W niecały rok później ukazała się antologia. A w ślad za nią, powstała cała biblioteka przekładów, które pilny Dedecius szykował z uporem i zdumiewającym kunsztem.

> Tłumacz to, co oryginalne, nie to, co naśladowane, podrabiane, przypadkowe. Unikaj rzeczy chodliwych. To, co dobre, zachowa swoją wartość tak, czy inaczej

– napisał Dedecius w „Notatniku tłumacza”.

Rada to czy pociecha?

_____

Artykuły powiązane:

http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/

http://www.cultureave.com/fatima/

http://www.cultureave.com/sladami-srebronia-juan-ramon--jimenez-1881-1958/

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

http://www.cultureave.com/tlumacz-wytrawny-karl-dedecius/

Prof. Florian Śmieja otrzymał w 2015 roku od króla Hiszpanii Filipa VI Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej za działalność translatorską i propagowanie języka, kultury i literatury hiszpańskiej na świecie.

http://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/

Nieśmiały na Parnasie: Augusto Monterroso (1921-2003).

Augusto Monterroso (1921-2003).

Florian Śmieja

Jeszcze w Anglii miałem okazję uczestniczyć w pierwszych spotkaniach z pisarzami, którzy nagle stali się bohaterami mody na literaturę latynoską, bo zaczęła święcić niespodziewane triumfy. Przypominam sobie przylot z ambasady w Paryżu do Londynu Chilijczyka **Jorge Edwardsa**, by wespół z młodym **Vargas Llosą** rozpowiadać cuda o dynamicznej nowej powieści zza oceanu. Kiedy przedstawiłem się jako Polak **Borgesowi** z matką objeżdżającemu Europę, ten przywitał mnie słowem „chleb”, które sobie skądś zapamiętał. Potem pojechałem specjalnie do ambasady kubańskiej, by posłuchać **Alejo**

Carpentiera. Niestety, słynny pisarz został zobligowany do wygłoszenia pochwały Fidela Castro. Pamiętam jeszcze, jak biegali za nim potulni sprawozdawcy z Europy Wschodniej, z przedstawicielem Instytutu Polskiego na czele. Później, na konferencji w Miami poznałem guru nowego zjawiska powieści latynoskiej, **Emira Monegala**.

Mieszkającego na emigracji w Meksyku pisarza gwatemalskiego spotkałem na zjeździe pisarzy Ameryki Łacińskiej, na uniwersytecie kanadyjskim w Windsor, w roku 1972. Był wtedy z nami m.in. **Vicente Leñero**, **Bryce-Echenique**, **Arturo Azuela**, **Salvador Elizondo**, **Manuel Puig** oraz **Augusto Monterroso**, zwany **Tito –** łysiejący mężczyzna w wieku średnim, niewysoki i jowialny, wyglądał na beniaminka słynnej falangi pisarzy, którzy w połowie dwudziestego wieku stworzyli wysoką falę powieści latynoskiej. Rozlała się ona potem po świecie, wywołując podziw i powszechne uznanie.

Chilijski pisarz i krytyk, autor "Osobistej historii boomu" zajął się tym szczególnym rozkwitem prozy Ameryki Łacińskiej, koncentrując się na nazwiskach najgłośniejszych, ale nie pomijając innych pisarzy, wśród nich **Augusta Monterroso**.

Ten Gwatemalczyk urodzony w 1921 roku w stolicy sąsiedniego Hondurasu, Tegucigalpie, okazał się bystrym samoukiem i zawziętym czytelnikiem. Wczesne zainteresowanie literaturą

łączył z polityczną aktywnością narażając się na ustawiczne zderzenia z władzami, z dyktatorami i ludźmi na usługach USA, a w szczególności potężnej *United Fruit Company*. Po upadku Arévalo i Arbenza salwował się ucieczką na emigrację i osiadł na stałe w 1944 roku w Meksyku, gdzie mieszkał aż do śmierci w 2003 roku. Zmarł na atak serca w Mexico City. Tu wydał pierwsze książki i znalazł zatrudnienie jako pedagog na Narodowym Uniwersytecie Meksykańskim. Zapewne do najszczęśliwszych chwil jego życia należało doczekanie się po pięćdziesięciu latach wojny domowej rozejmu i ugody między rządem Gwatemali a przywództwem popularnej partyzantki.

W roku 1959 wydał niewielki objętością tom prozy pod niezwykłym tytułem „Dzieła wszystkie (i inne opowiadania)". Był to zbiór bajek zdradzających już cechy charakterystyczne, które odtąd miały znamionować styl twórczości **Monterroso**: prostotę prozy, przystępność z tendencją do parodii. Swoje bajki i narracje pełne absurdu, paradoksu, pisał językiem klarownym i zaprawiał czarnym humorem.

Pisarz rzadko publikujący dopiero w roku 1969 wydał "Czarną owcę i inne opowieści". **Garcia Marquez** ostrzegał:

> Tę książkę trzeba czytać z rękami podniesionymi do góry: jej niebezpieczeństwo polega na skrytej mądrości i

> śmiercionośnej urodzie braku powagi.

W 1972 wydał “Pepetuum mobile”, potem “Reszta jest milczeniem” i “Żywot Eduarda Torresa” oraz “Podróż do wnętrza bajki”.

Miro la literatura como un juego – Literatura jest dla mnie grą, mówi prowokująco **Monterroso**, dobrze wiedzący, że jego koledzy byli mocno zaangażowani jako pisarze. Jego zdaniem, literatura upolityczniona pierwsza idzie w zapomnienie. W jego twórczości zauważamy, że powoli zaniknął w niej komentarz polityczny i społeczny. Otwarcie głosił, że jedynym obowiązkiem pisarza jest niepublikowanie podrzędnych utworów. Jedna z jego słynnych przypowieści, być może aluzja do renomowanego meksykańskiego pisarza **Juana Rulfo**, to historia o mądrym lisie, który broni się przed opublikowaniem chałtury i wychodzi zwycięsko z presji ogółu, by wydał tekst nie na poziomie.

Monterroso przedkładał myślenie nad pisanie, jego umysł usiłował stwarzać, choć zdawał sobie jasno sprawę, że wymyślał jedynie to, co już zostało wymyślone. Dlatego zanotuje, że pisanie jest czynnością zbędną, bo wszystko już zostało powiedziane:

> jedynie ignorancja każe nam odczuwać, że jesteśmy zdolni

> powiedzieć coś ważkiego, czego nie powiedziano dotąd lepiej.

Jeśli więc nie totalne milczenie, to daleko posunięta wstrzemięźliwość, zwięzłość, a to wymaga wyrafinowania i subtelności. **Monterroso** lubił parodie. Znakomicie potrafił naśladować zadęty, napuszony styl akademicki, koturnowy sposób mówienia krytyków literackich czy badaczy naukowych.

Mimo nadzwyczaj starannego obchodzenia się z językiem nie pisał pod krytyków, chciał być powszechnie czytany, choć nie zabiegał o względy jakiejś szczególnej warstwy społecznej. Gdyby szukać filiacji jego typu pisania, to trzeba by wymienić **Borgesa**. Niełatwo zakwalifikować ich twórczości. U obu daje się zauważyć nuta pesymizmu.

Monterroso lubował się w eksperymentowaniu gatunkami, które nie weszły do struktury współczesnej powieści. Pisał więc bajki inaczej. Zachował niektóre tradycyjne elementy, inne przemieniał i odwracał. Często w ten sposób tworzył zlepy rafinowanego humoru, wnikliwości, złej wiary. Ponieważ jego zdaniem moralizowanie jest właściwie bezskuteczne, nie należy szukać u niego morału.

> Osiem jego bajek czy opowiastek wydrukowałem w 1974

> roku w Londynie w kwartalniku “Oficyna Poetów”. Opatrzyłem je następującym komentarzem:
>
> Jego opowiadania i bajeczki są wielowarstwowe i inteligentne, traktują o słabościach i ambicjach ludzkich z olimpijskim pobłażaniem. Satyra złagodzona jest dobrodusznym spojrzeniem, a to co zdało się być zabawne i zaciekawiające, zdolne jest poruszyć intymne strony, wzruszyć i zaniepokoić nagłym zwrotem i niespodziewaną aluzją.
>
> Oto jedna z jego opowiastek zatytułowana „Samson i Filistyni”:
>
> Był pewnego razu zwierz, który chciał się zmierzyć z Samsonem. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się z nim stało. Ale wiecie też, jak później powiodło się Samsonowi z Delilą sprzymierzoną z Filistynami.
>
> Jeżeli chcesz zwyciężyć Samsona, połącz się z Filistynami. Jeżeli chcesz zwyciężyć Dalilę. połącz się z Filistynami.
>
> Zawsze łącz się z Filistynami.

Dwa lata później w przekładzie Marii Sten oraz Andrzeja Sobol-

Jurczykowskiego wyszedł w Wydawnictwie Literackim w Krakowie wybór opowiadań **Monterroso** pod tytułem “Mr. Taylor i inni”.

Na zjeździe pisarzy w Windsor, **Monterroso** przekornie kajał się przed swoimi towarzyszami, że wśród nich, pilnych pracowników pióra, czuł się jak Judasz. W odróżnieniu od nich nie pisze, ale poprawia. Nie jest ani powieściopisarzem, co najwyżej autorem opowiadań, żyjącym w ciągłym strachu, że mu odejdzie czytelnik, któremu pisarz serwuje niepotrzebne, zbędne części tekstu, Dlatego postanowił kultywować krótkie formy pisarstwa: aforyzm, bajkę, nowelę, esej. A wszystko to przy pomocy bardzo oszczędnego języka. Swoją ekonomię podkreśla z zachwytem:

> Dzisiaj mam dobre samopoczucie, jestem Balzakiem. Oto kończę ten wers.

W podobnym duchu napisał uwagę:

> Każdą literacką pracę należy ciągle poprawiać i skracać. *„Nulla die sine linea”.* Każdego dnia anuluj jedną linijkę.

Jak osiąga swoją zwięzłość? Skreślając:

> Trzy skreślone linijki są więcej warte od jednej dodanej.

Bo zwięzłość jest elegancją, a ozdoby i powtórzenia ani nią nie są, ani są potrzebne. To Cezar, jego zdaniem, wymyślił telegraf donosząc “veni, vidi, vici”.

Nic więc dziwnego, że od początku zainteresowały go bardzo aforyzmy Leca, które mu zacytowałem. (Sam zresztą również pisał aforyzmy, jak chociażby “Nawet aplauz głupca miły jest mędrcowi”). **Monterroso** był wprawdzie raz w Warszawie, gdzie spotkał się z będącym tam na placówce dyplomatycznej meksykańskim pisarzem **Sergio Pitolem**, w towarzystwie **Juana Rulfo** i **Julio Cortazara,** ale o Lecu nie słyszał, jak sam później napisał w dodatku “Sabado” do dziennika “Unomasuno” z 10 września 1984 roku. W tym też artykule, który mi dziś służy jako *aide-memoire*, wspomniał nasze poznanie w Windsor oraz kolejne spotkania w Meksyku, na uniwersytecie, w jego domu i w 1983 na wystawie książki. Jego książki z dedykacjami dla mnie przypominają, oprócz 1972 roku, także lata 1982 i 1984. We wzmiankowanym artykule dziwuje się, że zabiegałem o rozsławienie aforyzmów Leca, nazywając moją akcję rzadką posługą, której w meksykańskiej sytuacji pisarzy nie doświadcza wcale. (Właściwie to już w madryckim miesięczniku w 1966 roku udało mi się wydrukować kolumnę myśli Leca pod tytułem “Polonesa no brillante”).

Przypomina w tych fragmentach pamiętnika, że na moją prośbę umieścił wybór "Myśli nieuczesanych" w moim przekładzie w piśmie "Creación y Critica", a także, że w czasie oglądania wystawy książek w 1983 roku zasugerował, by mały wybór aforyzmów Leca spróbować wydać właśnie w serii tekstów lektury Wydawnictwa Uniwersyteckiego. Rzeczywiście, udałem się, z pomocą **Monterroso**, do nich i przełożywszy 395 wybranych myśli pod tytułem "Pensamientos desmelenados" posłałem do wydawnictwa opatrzywszy je krótkim wstępem oraz dowcipną jednostronicową autobiografią Leca. **Monterroso** przedrukował kilka moich stwierdzeń i całą wypowiedź Leca, która mu się bardzo spodobała. Była to równocześnie pierwsza reklama zapowiadająca przyszłą książeczkę. Ozdobiona akwarelą Juliusza Studnickiego "Arcydiabeł" ukazała się w nakładzie czterech tysięcy egzemplarzy w roku 1985 i rozeszła się błyskawicznie.

Monterroso zasłynął z dowcipnych uwag o pisaniu. I tak młodemu poecie poradził, by nie rozdawał swoich tomików, ale sam je zniszczył Dowodził, że pisarzowi wystarcza jedynie pióro i papier, że pisanie jest manią, sposobem zwracania na siebie uwagi, a więc zaspakajaniem próżności. Bodźcem bywa oglądanie swojego nazwiska w gazecie, co wywołuje zawsze czyjąś zawiść. Pisać trzeba w skromności i na marginesie właściwego zawodu. Uważa też, że próbować żyć z pisania kłóci się z dobrą tradycją humanistyczną.

Do oryginalności **Monterroso** nie przywiązuje wielkiej wagi. Wszystkich piszących uważa za złodziei, z tym, że w jego opinii, niektórzy robią to bardziej subtelnie, zaś ci, co nie kradną, należą, jego zdaniem, do najlichszych pisarzy.

Pisaniu pomaga przebywanie za granicą, gdyż ludzie znający się od urodzenia, nie wierzą w wyjątkowość czy talent znanych sobie ludzi. Jego zdaniem, pisarz stacza pierwsze boje ze swoimi rodakami, a kolejne z przyjaciółmi. Łatwo natomiast jest kontestować władze, a nawet stawianie się okoniem rządzącym może być pomyślną strategią, gdyż jeśli nie powiedzie się nam jako pisarzom, to możemy winę zwalić na rządzących. Dywersję i swoje oryginalne znamię znajdziemy natomiast w każdym dobrym dziele. Notoryczności zdobytej przez rewolucje, pieśni protestu czy np. schlebianie muzyce pop przez stateczne radiostacje, zupełnie nie poważa.

Spytany o odpowiedzialność społeczną odpowiada, że należy ona do wszystkich. Pisarz jest artystą, a nie reformatorem. Tłumaczy, że proste wiersze Kubańczyka **Jose Martiego** są dziełem pisarza. Kiedy natomiast **Marti** chciał działać jako polityk, wziął karabin, przeprawił się przez Morze Karaibskie, dosiadł konia i zginął pięknie w pierwszej bitwie. Wiedział zawsze, co robi.

Jedynym zadaniem pisarza to pisać na poziomie, bez względu na to, czy ma pieniądze, czy nie, czy ma czytelników, czy jest

żonaty, czy jest dziewicą czy męczennikiem, partyzantem czy policjantem, piromanem czy strażakiem. Sytuacja ekonomiczna, powiada, nie ma nic do rzeczy. Milionerzy książek nie piszą (a w Meksyku, także nie czytają, dopowiada).

Mieszkając w ciepłej strefie globu zredukował całą tematykę twórczości do trzech zagadnień: miłości, śmierci i much. Klucz do wielu kłopotów z egzystencją widzi w humorze. Uważa go za realizm doprowadzony do końca. Zauważa, że człowiek jest niezadowolony z bycia najgłupszym spośród stworzenia, więc nadto jeszcze pragnie być jedynym śmiesznym.

To wszystkie dywagacje zapewne sprawiły, że **José Donoso** do szczupłej grupy pisarzy odpowiedzialnych za powstanie wielkiej podaży na literaturę Ameryki Łacińskiej zalicza również **Augusta Monterroso**, a **Carlos Rincón** mówiąc o prawdziwej retorcie doświadczalnej prozy latynoskiej powołał się m.in. na eksperymentowanie **Monterroso**.

Stanisław Jerzy Lec na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/hece-z-lecem-1909-1966/

La Poni – arystokratka z walecznym piórem. Część 2.

Elena Poniatowska

Władysław Pomarański

Rodzina Eleny była bardzo zaniepokojona zwrotem w stronę ludzi sponiewieranych przez życie i zmianę jej poglądów na skrajnie lewicowe. Dopiero wiele lat później jej matka pogodziła się ze zmianą zainteresowań córki. Wyraziło się to w jej wspomnieniach „No me olvides" (Nie zapomnij mnie):

> córka uznała, że są to ludzie o wiele inteligentniejsi i bardziej twórczy, aniżeli osoby z dobrego towarzystwa –

> pisała.

Zradykalizowanie się Eleny i bliskość ideowa z obozem komunizującym, walczącym z juntą ludzi skorumpowanych, rządzących krajem terrorem, często w zmowie z członkami potężnej mafii, w porównaniu z którą mafia kolumbijska to przedszkolaki, stała się w jej przekonaniu jedyną drogą, która może obalić tyranię w tym kraju. Zdawała sobie sprawę, że ci nowi przywódcy przekształcą się po jakimś czasie w „czerwonych arystokratów", jak to w przeszłości niejednokrotnie bywało, ale zanim to nastąpi biedni ludzie mogą mieć trochę lepiej. To inny komunizm niż ten co my starsi Polacy dobrze znamy. Elena Poniatowska nie kryje się ze swymi przekonaniami lewicowymi. Nawet jej matka nazywała ją ironicznie „czerwoną księżniczką". W pewnym okresie swego życia brała udział w organizowaniu kampanii wyborczych dla kandydatów lewicowych na prezydenta lub do władz federalnych i lokalnych w Meksyku.

Jednak sama nie uważała się za komunistkę. Na pewno była osobą o skrajnie lewicowym zaangażowaniu politycznym, bo według niej to była jedyna siła, której udawało się od czasu do czasu hamować szaleństwa rządzących, korupcję i pogardę do ogromnej większości obywateli kraju. Zawiodła się na hierarchii kościelnej: miała pretensje do papieża Jana Pawła II, że nie potępił nadużyć dokonywanych na Indianach w stanie Chiapas,

co doprowadziło do ich buntu, wojny domowej i rzezi. Miała także za złe papieżowi, że nie dostrzegł iż „teologia wyzwolenia” na terenach Centralnej i Południowej Ameryki, stworzona i praktykowana przez niektórych duchownych pracujących w fawelach i wśród ludzi najbiedniejszych, zapomnianych przez rządy swych państw, nie pachnie herezją, lecz jest autentyczną ochroną najbiedniejszych przed niesprawiedliwością. Dla Eleny, osoby odważnej, wrażliwej na wszelką niesprawiedliwość, jedyną siłą, która obiecuje poprawę tej sytuacji to lewicowcy.

Meksykańska fawela – czyli domostwa najbiedniejszych.

Meksykańska fawela – czyli domostwa najbiedniejszych.

Sam może stałbym się lewicowcem, gdybym tam mieszkał i doświadczał tego, co tam się dzieje. Byłem w Acapulco, jednym z najbardziej bogatych, znanych i okrzyczanych miast turystycznych Meksyku. Wystarczyło zboczyć na boczną uliczkę z jedynego w mieście eleganckiego bulwaru zabudowanego hotelami dla turystów, czy wziąć lornetkę do ręki i przyjrzeć się otaczającym miasto wzgórzom. To fawele: tu wielodzietne rodziny gnieżdżą się często w jaskiniach bez wody bieżącej, bez elektryczności. To wszystko woła o pomstę do nieba i ta pomsta prędzej czy później może spaść i zmieść elitę. Ale jakimi będą nowi rządzący?

Nie tylko za poglądy lewicowe, ale przede wszystkim za odwagę i głoszenie prawdy, niepopularnej wśród elit, Poniatowska stała się znaną i powszechnie szanowaną w kraju. Dla wielu jest już nie tylko La Poni, ale Ponissima, a dla wielu literatów i pisarzy nie tylko języka hiszpańskiego *grande dame de lettres.* Miała odwagę zamanifestować to nie tylko w swych pismach, ale w czynach. Oto trzy przykłady: Zjawiła się w roku 2007 na wielkiej fecie zorganizowanej dla niej przez populistę, przyjaciela Fidela Castro, w owym czasie prezydenta Wenezueli Hugo Chaveza. W czasie tych uroczystości Chavez nie tylko nazwał ją największą pisarką Ameryki Łacińskiej, ale jak mały chłopiec tańczył, śpiewał, recytował przed nią jej teksty, paradując w swojej nieodłącznej czerwonej koszuli.

Podobny incydent przeżyła wcześniej w Meksyku. W roku 1994 *subcomendante* Marcos wszczął rebelię Majów w górach Chiapas – południowego stanu Meksyku. To jeden z najbiedniejszych stanów gęsto zaludniony przez Indian tego plemienia. Wiedział, że przyjazd Eleny pomógłby sprawie. Był człowiekiem wykształconym, wymyślił fortel by ją zwabić do pojawienia się wśród partyzantów. Przesłał jej kilkunastostronicowe zaproszenie napisane w stylu barokowym, bardziej przesadzone i rozgadane niż proza Cervantesa, na której się wzorował. Oto urywek tego zaproszenia:

> Niech będzie Twa piękność pozdrowiona. I niech zbrojne wojska zamilkną w pokornym powitaniu… bym mógł oficjalnie zaprosić Ciebie Pani, byś zechciała zniżyć się do tych rebelianckich i jakże niebezpiecznych stron i byś raczyła postawić na nich łagodny znak swych najdelikatniejszych stóp.

Oczywiście, uwiódł Elenę tymi słowami. Natychmiast kupiła bilet na najbliżej położone lotnisko od miejsca rozruchów, a wcześniej wstąpiła do sklepu, by gospodarzowi spotkania kupić jako prezent paczkę jego ulubionego tytoniu fajkowego. Z lotniska dowieziono ją terenówką do małego miasteczka Guadelupe. Pisze: „W Guadelupe powitał nas dźwięk tysiąca trąbek", by wszyscy powstańcy usłyszeli, że jest z nimi. Po oficjalnym przywitaniu, Elena spędziła długie godziny z Marcosem debatując, jak doprowadzić ten zryw do zwycięstwa. Opublikowała swoje wspomnienia z tej wizyty i rozmowę z Marcosem w *La Jornada*.

Elena Poniatowska (z prawej) w Polsce.

Trzecią tego typu przygodą był jej pobyt w Polsce. Rząd Polski Ludowej zafundował jej tryumfalny wjazd i przejazd po kraju. Dla kurażu, poprosiła, by pozwolono podróżować z nią jej matce Paulinie. Nie tylko pozwolono, ale opłacono jej przelot i pobyt w Polsce. Był to rok 1965, gdy powoli naród budził się ze snu, gdy zaczęły się tworzyć organizacje oporu, obrony uciśnionych i uwięzionych obywateli. Odwiedziny takiej osoby z pochodzenia Polki, która była dumna ze swych korzeni, stało się dużym wydarzeniem. Miała przecież w rodzinie kuzyna z jej francuskiej gałęzi rodu, który walczył w oddziałach generała Maczka i zginął

od kuli snajpera już po zakończeniu bitwy. Polski wywiad w ambasadzie w Meksyku chyba przeoczył jej wypowiedź, gdy po druku książki o morderstwie studentów na placu Tlatelolco zapytana przez dziennikarza jaka ideologia przyświecała jej przy pisaniu powiedziała:

> Żadna. Jestem z pochodzenia Polką. A jaka jest ideologia Polaków? To ludzie gotowi rzucić się na koniach przeciw czołgom.

Gdy polscy władcy zaczęli powoli obawiać się o swoją przyszłość uznali, że dla celów propagandowych sprowadzenie do Polski arystokratki, w mniemaniu wielu… komunistki, będzie strzałem w dziesiątkę, bo przekona niektórych Polaków, a tym bardziej osoby liczące się spoza Polski, jak otwarta jest na świat polska „demokracja ludowa".

Nieco przedtem Trybuna Ludu i inne czasopisma piały z zachwytu, gdy przez Polskę przejeżdżała Dolores Ibarruri, hiszpańska komunistka, która w wywiadach chwaliła polskie porządki. Wracała z pielgrzymki od swego boga Stalina, ten łaskawie uhonorował ją nadaniem jej obywatelstwa Kraju Rad. Pamiętam te czasy, byłem już dorosłym człowiekiem. Przedstawiono ją jako męczennicę dobrej sprawy w kraju faszystowskim – w rzeczywistości była sekretarzem dużej

legalnej komunistycznej partii swego kraju, posłanką na sejm. Wtedy poznałem dwa pierwsze słowa hiszpańskie*: no pasaran* (nie przejdą) – Władysław Broniewski dołączył je do jednego ze swych entuzjastycznych wierszy. Ona je wymyśliła, stało się to wyrażenie okrzykiem komunizujących republikanów walczących z faszystami generała Franco w wojnie domowej tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Chodziło o to, że Franco nie dojdzie przez góry do Madrytu. Doszedł w kwietniu 1939 roku i swe pierwsze orędzie do narodu rozpoczął od słów *hemos pasado* (przeszliśmy).

Helenę i mamę obwieziono po najciekawszych miastach Polski – poza Warszawą zwiedziła Kraków, Gdańsk. W kolejce na rozmowę z nią czekało kilku pisarzy, dziennikarzy, artystów, nawet członek rządu, którego nazwiska nie zapamiętała, określiła go jako „ten gruby polityk", z grzeczności nie dodała, że łysy – chodziło o Cyrankiewicza. Te spotkania rozczarowały rząd i partię. Powiedziała, że nie jest komunistką, a do Polski przyjechała, by kontynuować zbieranie materiałów do książki o swym rodzie Poniatowskich, ale gdy w Polsce dowiedziała się więcej o królu Stanisławie Auguście, zrezygnowała z tego pomysłu, bo… cytuję:

> zdałam sobie sprawę, że Katarzyna Wielka go zjadała.

Katarzyna nie tylko go zjadała, ale zjadła i strawiła i choć po służbie w jej „stajni ogierów” obdarzyła go koroną polską, to później sponiewierała, gdyż chciał dobrze dla swego kraju.

Elena Poniatowska na Międzynarodowych Targach Książki, Miami 2014 r.

Artykuły i książki Eleny Poniatowskiej na temat wydarzeń w Meksyku nie miały charakteru czysto dziennikarskiego – do opisu faktów dorzucała swoje uwagi, przekonania, przemyślenia, czyta

się je nie jak suche sprawozdania, lecz jak nowelki, czy powieść.

Elena powoli wyrasta z felietonistki i staje się w ścisłym tego słowa znaczeniu literatką. Pomysły twórcze, szczególnie te zbliżone do wspomnianego realizmu fantazyjnego zaczyna prezentować nie tylko w nowelach i powieściach, ale nawet zbeletryzowanych biografiach. Próbuje pisać wiersze i mimo tego, że jej patron literacki w tej dziedzinie jeden z najbardziej znanych poetów Meksyku uczy ją sztuki wierszowania, cierpliwie poprawia jej wierszydła, oboje dochodzą do wniosku, że z niej nie będzie żadna poetka.

Jeszcze w czasach swego zaangażowania się w pisanie o problemach ekonomicznych i społecznych Meksyku w roku 1954 napisała krótką powieść dziecięcą. To była tylko fantazja, sny, marzenia małej dziewczynki nazwanej Lilus Kikus, która zasypiając na okrągłych schodach swego domu, we śnie po dziecięcemu ustawiała świat, by był lepszy, a ludzie szczęśliwsi. W książce tej nawet bardzo małe dzieci, mogą zleźć coś dla siebie: twory fantazji dziecięcej. Te książki są też i dla dorosłych nie tylko o tym jak dzieci marzą, ale że ich pomysły, choć fantazyjne, są mądrzejsze od tego, co światu ofiarują dorośli. Szkoda, że nie znalazł się tłumacz tego cacka na język polski.

Innym tworem czysto fantazyjnym pisarki to mały tomik zmyślonych listów paryskiej żony „pierwszego pędzla” Meksyku

muralisty Diego Rivery przetłumaczony na język polski pod tytułem „Kochany Diego, całuję Cię, Quiela”. To w wyobraźni Poniatowskiej, odczucia zakochanej w swym mężu i kochanku kobiety, nagle opuszczonej bez słowa i bez dalszego kontaktu z nią. To fikcja, ale chyba bardzo bliska odczuć każdej zakochanej i porzuconej kobiety. Była nią rosyjska malarka Angelina Beloff. W tej fikcyjnej opowieści inteligentny czytelnik powinien dojrzeć subtelne odbrązowienie tego człowieka. Był bończuczny, bez wszelkich hamulców moralnych, prawdziwy komunista w sowieckim stylu. Malując ściany budynków Nowego Jorku umieścił na nich portret Lenina. Malowidła odsłonił po zainkasowaniu umówionej zapłaty. Skompromitował jednego z Rockefellerów, który zamówił te malowidła. Ściany zamalowano. W San Francisco nie był aż tak bezczelny, wciskał wodzów komunistycznych wśród pisarzy, artystów, aktorów, by trudniej było ich zidentyfikować. Zachowały się na ścianie jednej ze szkół miasta.

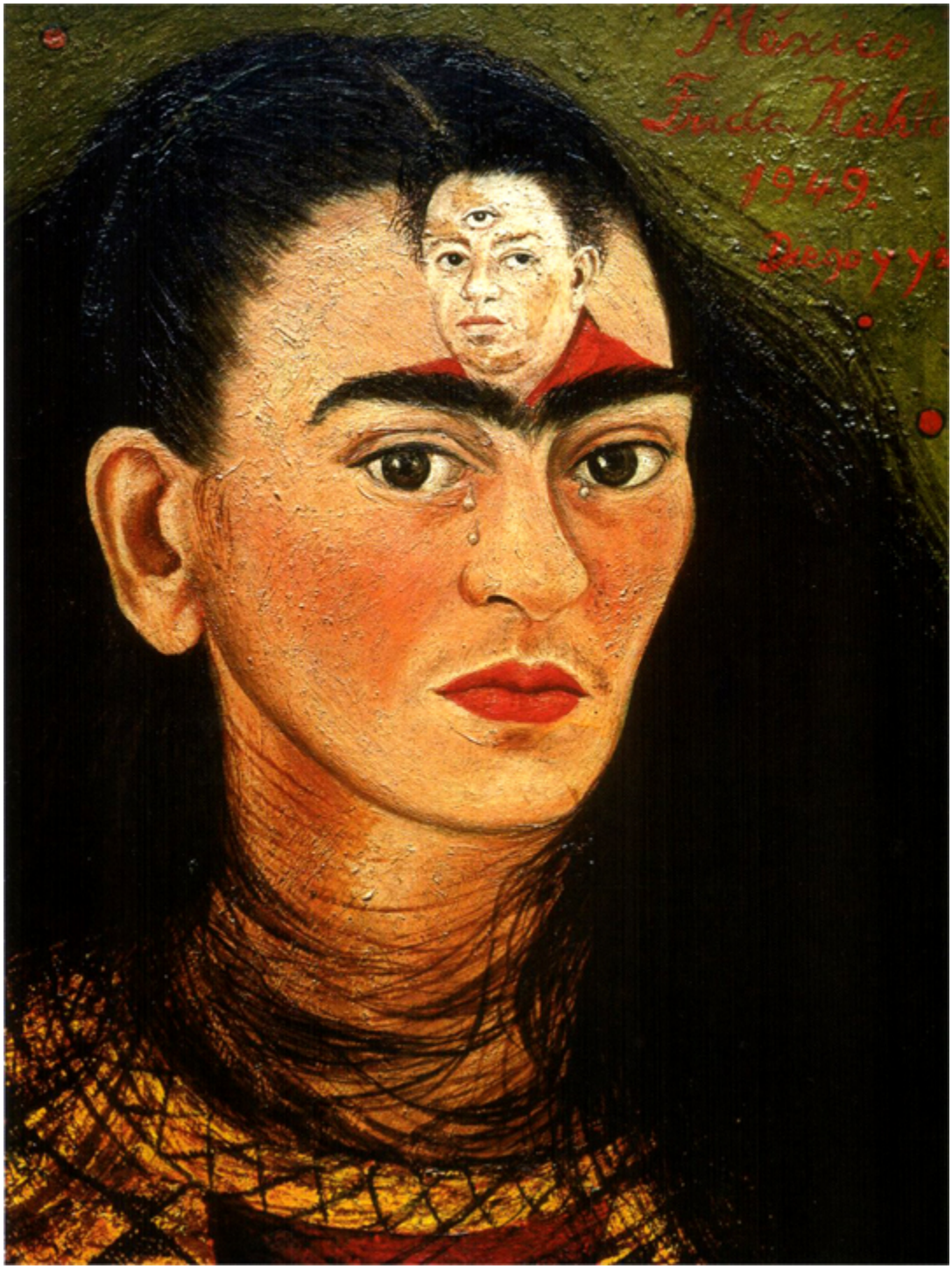

Frida Kahlo, Diego i ja, 1949 r.

Innej jego żonie Fridzie Kahlo Poniatowska poświęciła książkę opartą na faktach, skupioną na jej twórczości. To kaleka po wypadku, mieszkająca w jego domu. Była kompletnie ignorowana i zaniedbywane przez Diego, który swą „jurność” zaspakajał z

kochankami, o czym Frida wiedziała i musiała tolerować. Poniatowska mając artystyczny instynkt doceniła talent nieznanej wtedy malarki. On tworzył wielkie bufoniaste obrazy, nie tylko na murach budynków wielu miast, ale także na płótnie. Frida uwięziona przez kalectwo w domu tworzyła malowidła będące najczęściej odbiciem jej nastroju, odbioru świata jej własnymi oczami. Elena kilka razy spotykała się z malarką w jej domu. Tak na wszelki wypadek była z nią zawsze mama, bo obawiała się, że Diego Rivera – podstarzały satyr może ją napastować. Rezultatem tych wizyt była książka o artystce i jej dziełach malarskich. Dopiero od niedawna docenia się twórczość Fridy Kahlo. Jej dzieła są oglądane i podziwiane na wernisażach.

Pisarka lubi fantazjować, marzyć, co przekłada się na wspomnianą wcześniej literaturę dla dzieci. Nawet tworzy niby swoją biografię, w której poza faktami pojawienia się w Meksyku w wieku 10 lat, zagubienia, szukaniu zrozumienia tego kraju i ich ludzi, reszta, to jej marzenia pomysły jak uczynić go piękniejszym, sprawiedliwszym. To „La flor de lis". Już sam tytuł może spowodować zakłopotanie u czytelnika. Tłumaczy się go jako kwiat lilii, który od XI wieku jest symbolem Francji. Jednak pierwsze słowo jest hiszpańskie, drugie francuskie, każdy to może interpretować po swojemu, dla mnie to chyba przesłanie, że Francuzka musi uczyć Meksykanów kim są i kim powinni być.

Począwszy od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku

Ponissima powoli odchodzi od problemów społecznych w Meksyku, pisze kilka artystycznych biografii ludzi, którzy ją zafascynowali, lub o najbliższych przyjaciółkach – choć są faktograficzne i czyta się je jak powieści. Zrobiło się dużo nieprzychylnego jej szumu po opublikowaniu biografii Tiny Modotti pod tytułem „Tinissima". To niezwykle piękna fizycznie kobieta, co ułatwiało jej szerzyć skrajne poglądy polityczne. Włoszka, fotografka, zaczęła swoją karierę w Hollywood u boku słynnego amerykańskiego fotografa Edwarda Westona. Przeniosła się z kochankiem do Meksyku, tutaj nie zatrzymała się długo – posądzona o udział w próbie zabójstwa prezydenta kraju uciekła do Europy i przez Berlin dotarła do Moskwy. Trzeba się było pokłonić swemu idolowi Stalinowi, który, jak się okazało rozprawiał się nie tylko z wrogami (przypominam kilku rządców krajów demokracji ludowej, którzy wezwani do Moskwy wracali do swego kraju w trumnach). Uciekła więc z Kraju Rad, brała czynny udział w wojnie domowej w Hiszpanii, wróciła do Meksyku, bo rządził nim już inny prezydent, więc mogła bez obawy wrócić. Umarła młodo w wieku 40 lat na atak serca w czasie podróży taksówką.

Helena uhonorowała książką będącą zbiorem esejów swego patrona w czasie, gdy jeszcze była mniej znana, Carlosa Fuentesa. Napisała monografię o meksykańskim malarzu Juanie Soriano, którą w 2017 roku hispanista Marcin Żurek przetłumaczył na język polski.

Leonora Carrington

La Poni za ostatnią ze swych zbeletryzowany biografii o swej przyjaciółce zatytułowanej „Leonora”, wydanej w Barcelonie w roku 2011, otrzymała dwa lata później najbardziej znaną nagrodę literacką Hiszpanii zwaną *Premio Cervantes,* popularnie uznawaną za nagrodę Nobla literatury hiszpańskojęzycznej jako jedna z czterech kobiet z różnych krajów piszących po hiszpańsku w całej historii istnienia tej nagrody. To rzeczywiście niezwykle ciekawa książka o niesamowitej kobiecie. Miała być bogatą dziedziczką w Anglii. Od dziecka buntowała się przeciwko wszystkiemu co członkowie bogatej arystokracji tego kraju reprezentowali. Już w dość młodym wieku zerwała ideologiczne, religijne i inne więzy z rodziną chcąc być sobą, by realizować swoje marzenia. Ma duszę artystki, realizuje się jako malarka

surrealistyczna, w tej dziedzinie sztuki jest dzisiaj uważana za jedną z najwybitniejszych jej przedstawicieli. W czasach jej młodości większość wybitnych artystów i pisarzy odbywało swą artystyczną „praktykę" w Paryżu. Zakochała się w malarzu Maxie Ernst. Pod jego okiem zaczęła swą karierę artystyczną. Przyjaźniła się z Pablem Picasso, Salvadorem Dali, Joanem Miró i innymi twórcami tej grupy artystycznej. Paryż w świecie był wtedy „Mekką" ludzi, którzy coś nowego wprowadzili do myślenia, pojmowania świata, formowania nowych trendów w różnych dziedzinach sztuki.

Ernst dostał się do obozu koncentracyjnego, to załamało Leonorę do tego stopnia, że znalazła się w zakładzie dla psychicznie chorych. Szybko pozbierała się uciekła z zamkniętego zakładu. Znalazła się w Nowym Jorku – tu zrobiła furorę swymi pomysłami w dziedzinie malarstwa. Przeniosła się na stałe do Meksyku, zafascynowała sobą Poniatowską, może dlatego, że była bardziej przebojowa od niej w walce z establishmentem i dużo skrajniejsza w pomysłach artystycznych. Tu Leonora osiągnęła swe szczyty, tu stworzyła swe dzieła wybitne i niepowtarzalne. Jej wspaniała biografia to w twórczości Poniatowskiej jest także szczyt artyzmu. Doceniona została za to nagrodą literacką, którą przyjęła z rąk króla Hiszpanii.

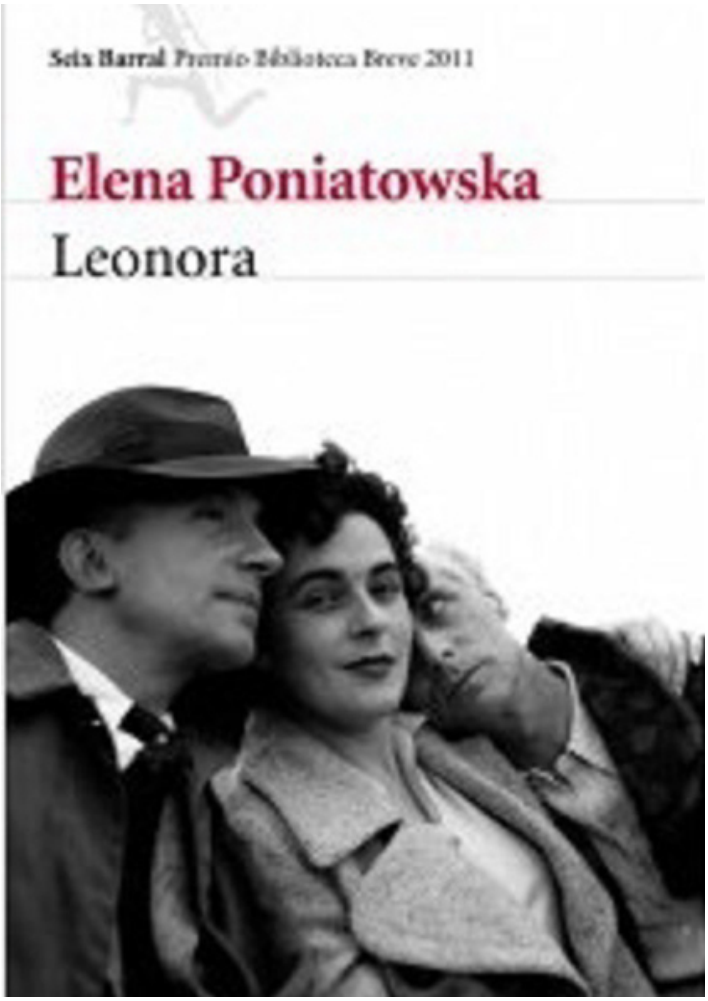

Okładka biografii Leonory Carrington, 2011 r.

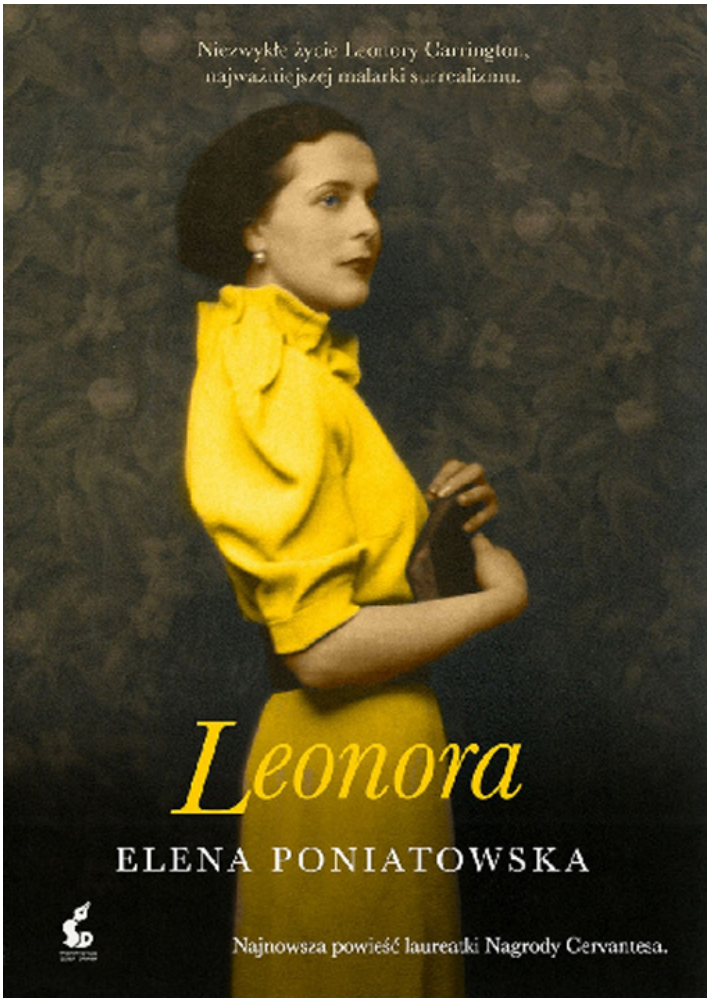

Okładka polskiego tłumaczenia biografii Leonory Carrington.

Po tym dziele sporadycznie, od czasu do czasu, ukazują się nowe teksty Eleny. Mimo, że jest osobą w bardzo podeszłym wieku, wciąż jest aktywna. Swą niesamowitą odwagą, mówieniem prawdy bez względu na konsekwencje, a przede wszystkim artyzmem swych dzieł – prawie każde z nich było jakimś ciekawym zaskoczeniem dla czytelników – stała się i poza Meksykiem człowiekiem lubianym szanowanym, wielką damą nie tylko literatury, ale odważnego myślenia, uporu w przekazywaniu swych „recept" społecznych. Chyba trzeba przypisać szczęściu, że nie została ofiarą systemu, gdyż notorycznie organizowana była na nią nagonka. Ona Francuzka

pokazała Meksykanom ponure oblicze ich ojczyzny, przekonała wielu, że i piórem można wiele dobrego zrobić, nawet w życiu politycznym i społecznym. Przyglądając się bliżej tej maleńkiej ciałem osóbce odkryłem, że to człowiek, który nie umie powiedzieć nie. Gdy coraz częściej zgłaszali się do niej początkujący pisarze z prośbą o porady, otwarła swój dom raz w tygodniu dla wszystkich, którzy takich porad szukali. Nie tylko odpowiadała na pytania, ale na przestrzeni około dwudziestu lat wygłaszała mini-wykłady o tym jak się zabierać do władania piórem. Choć miała duży dom, to był tak wypełniony książkami i innymi materiałami, że nie mieściło się w nim wiele osób. No i trzeba było uważać nie tylko na to o czym mówiła, ale by nie nadepnąć któregoś z jej licznych przyjaciół zwierzaków.

Dużo czasu zajmowało jej pisanie wprowadzeń do dziesiątek dzieł nie tylko początkujących, ale i renomowanych pisarzy również spoza Meksyku. To praca czasochłonna, bo każde takie dzieło trzeba przeczytać, a przynajmniej dokładnie przejrzeć, by coś sensownego o nim napisać. Jest ciągle zapraszana na sympozja sztuki i literatury, z odczytami, jest arbitrem w różnych konkursach literackich, tylko dlatego że, jak wspomniałem, nie zna słowa nie. Elena nie przywiązywała większej uwagi do wyróżnień i nagród za swą postawę i twórczość literacką. Różnego rodzaju trofea chowała po kątach swego mieszkania. Tych nagród były dziesiątki. Pisarka jest honorowym doktorem wielu uniwersytetów nie tylko w krajach języka hiszpańskiego,

ale i kilku innych, w tym uniwersytetów amerykańskich mieszczących się w pierwszej dwudziestce najlepszych uniwersytetów świata.

Choć bym bardzo chciał, nie potrafiłbym tak zwięźle i fachowo podsumować życia i pisarstwa tej wspaniałej osoby, jak to uczyniła kapituła Nagrody Cervantes. Oto tylko pół zdania tej wypowiedzi:

> ...błyskotliwe pomysły literackie w różnych dziedzinach, typowy styl, wyjątkowe oddanie się dziennikarstwu i duży wpływ na współczesną historię.

Pierwsza część losów Eleny Poniatowskiej – La Poni:

http://www.cultureave.com/la-poni-arystokratka-z-walecznym--piorem-czesc-1/

La Poni – arystokratka z walecznym piórem. Część 1.

Władysław Pomarański

Elena Poniatowska

Elena Poniatowska obywatelka Francji, a później także Meksyku, jest znana w tym kraju jako La Poni, gdyż Meksykanie nie chcieli łamać sobie języka przy wymawianiu jej nazwiska. To wybitna pisarka, na swym koncie ma ponad 30 książek i kilka tysięcy artykułów. Ukazało się też przynajmniej dziesięć jej biografii.

Mój przyjaciel iberysta Florian Śmieja, mąż innej Poniatowskiej – Zofii, będąc w Meksyku miał okazję poznać i porozmawiać z Eleną. Opowiadał mi potem o spotkaniu z tą inteligentną, doświadczoną życiem, skromną osobą, od niego więc dowiedziałem się o jej istnieniu. Doceniana jest i poważana za artykuły zebrane w wielotomowych wydaniach zbiorowych, w których odważnie krytykuje wszelkie anomalie polityczne i społeczne Meksyku. Pisze i publikuje również dzieła czysto literackie: powieści i opowiadania dla dorosłych i ciekawe pełne fantazji opowiadania dla dzieci. Mieszczą się one w nurcie zwanym realizmem magicznym – to najwspanialszy dar Ameryki Łacińskiej dla literatury światowej. Najbardziej znanym jego przedstawicielem jest Gabriel Garcia Márquez ze swoją fenomenalną powieścią „Sto lat samotności". Osiągnięciem tego trendu literackiego jest zręczne połączenie faktów z fantazją, snami, światem duchów, ludowych przypowieści i bajek. Utwory są tak skomponowane, że czytelnik gubi się – nie bardzo wie co może uznać za świat realny, a co za twór fantazji. Im to bardziej pogmatwane i zręczniejsze, tym cenniejsza powieść.

W Elenie Poniatowskiej płynie książęca krew, jeśli przyjąć, że potomstwo brata króla, jest potomstwem książęcym. Król Stanisław August Poniatowski miał kilku braci, jeden z nich był arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Polski. Dwaj inni: Andrzej – generał austriacki i ojciec znanego wszystkim księcia Józefa oraz Kazimierz pozostawili po sobie legalne potomstwo (czego nie można powiedzieć o królu). Andrzej jest prapra… dziadem Eleny.

Pisarka urodziła się w roku 1932 w Paryżu z ojca Jana Poniatowskiego, obywatela Francji i matki Marii Dolores Pauli Amor Escandon. Nadano jej kilka imion, pierwszym było Helène. Posługuje się tylko nim i jego odmianami w języku hiszpańskim i angielskim. W rodzinie jej matki też płynęła „błękitna krew": była to szlachecka rodzina latyfundystów meksykańskich pochodzenia francuskiego – niektórych z członków tej rodziny rewolucje i wojny domowe przepędzały do Francji. Rodzina, z wyjątkiem ojca Eleny powołanego do wojska, uciekła przed hitlerowcami w czasie II wojny światowej z Francji do Meksyku: najpierw dwie córki – Helena i młodsza Zofia, znana bardziej jako Kitzia, odesłane zostały do posiadłości dziadka Andrzeja Poniatowskiego w Południowej Francji, czyli do tak zwanej „wolnej strefy". Matka Paulette dołączyła do nich nieco później, bo na początku wojny będąc członkinią tajemnego ruchu oporu, była równocześnie kierowcą karetki pogotowia Czerwonego Krzyża. Gdy pobyt u dziadka Andrzeja Poniatowskiego stał się

niebezpiecznym, wtedy cała trójka przeniosła się do Meksyku. Helena dotarła tu jako 10-letnia dziewczynka.

Elena Poniatowska, fot. archiwum prywatne E. Poniatowskiej.

Ojciec walczył dzielnie w wojsku pod dowództwem generała De Gaulle'a w czasie całej wojny, dostał osiem medali za męstwo, postradał przy tym zdrowie. Dołączył do rodziny po wojnie. Rodzina w tym czasie się powiększyła: urodził się chłopiec, także Jan jak ojciec. Zginął on potem w wypadku samochodowym mając 20 lat.

Helena, od teraz Elena, początkowo czuła się w Meksyku jak osoba wyrzucona na bezludną wyspę. Nie wysłano jej do regularnej szkoły funkcjonującej w języku hiszpańskim, ale do szkoły angielskojęzycznej. W domu mówiono po francusku: bona pilnowała, by dziewczynki nie tylko nie traciły go w obcojęzycznym kraju, ale rozwijały jego znajomość. Gdy sytuacja ekonomiczna rodziny poprawiła się, wynajęto Magdalenę Castillo, wiejską dziewczynę, góralkę ze stanu Pueblo, żeby była z dziećmi i w dzień, i w nocy, bo matka i babka bywały zapraszane do domów z ich kręgu towarzyskiego. Obowiązkowe było też pokazywanie się w teatrze i na koncertach. Nie mogły więc wystarczająco dużo czasu spędzać z dziećmi. Od czasu do czasu babka znajdowała wolną chwilę by porozmawiać z wnuczkami. Ta sfrustrowana kobieta usiłowała nasączyć je nienawiścią do wszystkiego co meksykańskie, twierdząc, że mieszkańcy tego kraju to potomkowie dzikich ludożerców. Pokazywała im zdjęcia w *National Geographic* o mężczyznach z półdzikich plemion, przyozdabiających swoje głowy kośćmi ludzi uprzednio przez nich zjedzonych. To, oczywiście, według

opowieści babci, rodowici Meksykanie w najnowszym wydaniu. Zalecała więc unikania wszystkich mówiących po hiszpańsku, by z ich ręki nie zginąć, a potem nie być zjedzonym. Początkowo Elena wierzyła w te brednie, ale ani jej niania, ani koleżanki i koledzy z ulicy nie wyglądali na potomków ludożerców – w kontaktach z nimi poznała język hiszpański z nieco odmiennym górskim akcentem niani i niektórymi wyrażeniami lub słowami z terenów gór Pueblo. Dość szybko otrząsnęła się więc z opowiastek babci.

Rodzina uznała, że poznanie języka angielskiego jest rzeczą konieczną dla przyszłej kariery córek – po podstawowej szkole angielskiej, do której uczęszczały w stolicy, wysłano je do prywatnej szkoły dla panienek z bogatych rodzin w zakonie sercanek w Pensylwanii. To tradycyjna szkoła zakonna owych czasów: dużo nauki, dużo modlitw, skromne posiłki, dyscyplina prawie wojskowa egzekwowana częstymi rózgami (cienkimi, by bardziej bolało). Dziewczynki pisały rozpaczliwe listy do swej niani, by przekonała rodziców, aby je zabrali do domu, bo nie wiedzą co z sobą zrobią.

Mimo to Elena dokończyła szkołę jako prymuska, a zakonnice chcąc się nią pochwalić szykowały dla niej miejsce na prywatnym katolickim uniwersytecie. Chciała studiować medycynę, ale gdy to powiedziała w rodzinie, wyśmiano ją, a babcia sprawna w opowiadaniu horrorów zapytała ją jak sobie wyobraża siebie w

towarzystwie cuchnących gołych męskich trupów w prosektorium. Zaczęła więc myśleć o zawodzie dziennikarskim. Od niechcianych studiów na uniwersytecie wyzwolił ją krach ekonomiczny w Meksyku. Dziewczyny wróciły do domu.

Helena do tej pory nie doznała biedy, bo mimo, że latyfundia jej matki i babki zostały skomasowane, to majątek ruchomy został. Skończyły się bale, ojciec by podreperować finanse rodzinne założył jakieś laboratoria, splajtował, potem otworzył restaurację – następny niewypał. Działał też w bankowości, farmaceutykach, kopalnictwie, bez widocznych rezultatów. Zdesperowany, znerwicowany, popadł w depresję i umarł.

Te kilka lat nauki u sercanek nie umocniło wiary Eleny, ale wzbogaciły ją intelektualnie. Już jako osiemnastolatka zaczęła pisać artykuły najpierw do mniej znanych gazet, a dwa lata później do renomowanej gazety *Excelsior.* Dość *s*zybko staje się tak popularna, że druga z dwóch najpopularniejszych gazet Meksyku *Novedades* przekonała ją by się do niej przeniosła, oferując jej prawie trzykrotnie wyższą gażę. Jej pochodzenie książęce, no i świetne pióro, otwiera jej możliwości kontaktowania się i prowadzenia wywiadów z członkami rządu, z najbardziej znanymi literatami i artystami z różnych dziedzin sztuki i wielu innymi prominentami kraju. Obok wywiadów prowadzi w gazecie kronikę towarzyską, a także publikuje zwyczajne ploteczki, porady kosmetyczne, np. wylansowała modę

na delikatnie umalowane usta, bez używania ciemnych szminek.

Teraz to nie ona szuka kontaktów z prominentami, lecz oni z nią, choć w wywiadach zadaje dociekliwe, niekiedy ambarasujące pytania – podpuszcza pytanych by się kompletnie odsłonili – czytelnicy często tylko z tego powodu kupowali gazety. Takich wywiadów przeprowadziła tysiące. Stała się bardzo słynna, ale była też coraz bardziej sfrustrowana tego typu pisaniem, pogonią za tanią sensacją, a także poziomem intelektualnym większości ludzi z jej wywiadów. Postanowiła wypróbować swe siły dziennikarskie we Francji, tym bardziej że łatwiej było jej przeprowadzać wywiady w jej ojczystym języku.

Zjawiła się u dziadka Andrzeja – ten bogaty i oświecony magnat swoimi wpływami wprowadził ją na salony i skontaktował ze „śmietanką" artystyczną kraju. Rozmawia i publikuje wywiady między innymi z Françoise Sagan, Grace Kelly, Yves Montand, Eugene Ionesco i innymi sławnymi w owym czasie osobami, które przybywały we Francji. Ta śliczna, mała, niebieskooka blondynka nie znalazła czasu, by się rozejrzeć za odpowiednim kandydatem na męża, choć dziesiątki młodzieńców się do niej zalecało. Przydarzyło jej się nieślubne dziecko, Emmanuel – obecnie profesor fizyki na Universidad Autónoma de Madrid. Urodził się w Rzymie, o ojcu nikt nigdy się nie dowiedział. Pielęgnowała go wspomniana góralka, no i sama Elena, gdy znajdowała wolne chwile w swym zwariowanym kołowrocie zajęć

dziennikarskich.

Elena pracując w środowisku tzw. sfer wyższych, poznała mentalność tej klasy, często dość prymitywnych jej przedstawicieli, żyjących kosztem tych pogardzanych. Nikt w tym czasie nie pisał o ludziach biednych, pokrzywdzonych, sponiewieranych przez życie, a wśród nich najbardziej poniżanych i najbardziej biednych – Indianach. Elena zbliżyła się do nich, żeby poznać ich problemy. Z dziewczyny, której imponowały kontakty ze znanymi ludźmi w kraju, stała się osobą zainteresowaną tymi, których na salonach nazywano „odpadkami społecznymi". Rodzina z przerażeniem patrzyła, jak jej latorośl swymi odważnymi tekstami przedstawiającymi prostych ludzi w okrutnym systemie społecznym, oddalała się od stylu życia godnego arystokratki. Nie było wyjścia, trzeba było zaakceptować tę nową sytuację określoną przez babkę, że „biedne maleństwo stacza się w otchłań".

Elena Poniatowska z hiszpańską parą królewską po otrzymaniu nagrody Premio Cervantes.

Wybrała za kandydata na męża dużo starszego od siebie światowej sławy astrofizyka, odkrywcę 12 gwiazd, będącego o krok od Nagrody Nobla, Guillermo Haro. Ale znajomość z nim nie zaczęła się łatwo. Elena poprosiła go o wywiad. Zapytał czy coś wie o astronomii, powiedziała, że nic. Gdy ciągle go nagabywała, by mieć to z głowy, zaproponował, że dostarczy jej odcinki swoich publikacji, niech z nich stworzy rodzaj wywiadu. Tak szybko nie pozwoliła się zbyć. La Poni była nie tylko odważna i szczera do bólu, ale była też niezwykłym uparciuchem. Odrzuciła tę propozycję, nachodziła wciąż astronoma i dopięła swego. Pierwszy wywiad był wprost katastrofalny. Ona chciała

dowiedzieć się jak najwięcej o nim, on chciał tylko rozmawiać o najnowszych osiągnięciach astronomii, szczególnie rodzącej się w owych czasach astrofizyki. Trudno było o tym rozmawiać, gdy rozmówczyni nie znała podstawowych pojęć z tej dziedziny wiedzy. Jednak nie zrezygnowała. Zgłosiła się do obserwatorium astronomicznego i tam poduczono ją jak i o czym ma rozmawiać z profesorem. Ta rozmowa wypadła nieco lepiej, no ale do „biorę sobie ciebie za małżonka" była jeszcze długa dziewięcioletnia podróż w czasie. W końcu zostają małżonkami, astronom adoptuje jej panieńskiego syna, mają jeszcze dwójkę własnych dzieci: Filipa i Paulę. On się wreszcie mógł skupić na tym co najbardziej kochał – obserwacji nieba, a ona jako mężatka z zabezpieczoną przyszłością dla siebie i dzieci mogła rozwijać swój talent pisarski. Było to dobre małżeństwo, bo nie wchodzili sobie w drogę. Podziękowała mu i uhonorowała po jego śmierci w 1988 roku zbeletryzowaną publikacją rozgrywającą się w środowisku naukowców „La piel de cielo" (Naskórek nieba).

Dostrzegała nierówności społeczne, samowolę i pazerność władzy, morderstwa czy uwięzienia tych, którzy odważyli się krytykować kogokolwiek z rządzących krajem i prowincjami, lub upominającymi się o należną im zapłatę za pracę. Dostrzegała okrutne traktowanie Indian. Teraz definitywnie zmieniła zainteresowanie w doborze rozmówców do swoich wywiadów. Będąc już sławną dziennikarką znajduje sposoby dotarcia do ludzi pokrzywdzonych, dopuszczają ją nawet do więzienia

(zawdzięcza to wsparciu popularnego i genialnego reżysera Hiszpana, który w Meksyku stworzył najważniejsze swe filmy, Luisa Buñuela). Rozmawiała z kolejarzami uwięzionymi tylko z tego powodu, że odważyli się strajkować, bo nie zapłacono im za pracę, a także ze studentami, których nie dosięgły kule na placu Tlatelolco. Jeden z więźniów napisał sztukę, ona ją wyreżyserowała wewnątrz więzienia, zatrudniając osadzonych tam więźniów jako aktorów. Jest odważna, mimo ciągłych pogróżek dociera do prawdy. Większość jej artykułów, wywiadów, a nawet książek z tego okresu wydrukowano – niekiedy musiała trochę poczekać na zmianę rządu czy prezydenta, by publikacja się ukazała.

Miejsce masakry studentów, plac Tlatelolco.

Radykalizuje się po morderstwie setek ludzi, w większości studentów, w roku 1968. Korzystając z faktu, że za kilka dni miały się zacząć w Meksyku Letnie Igrzyska Olimpijskie, studenci wyszli na ulicę, ogłosili strajk, by mieć szansę przekazać

światu to, co się w tym kraju niedobrego dzieje. Rok ten był również i w Meksyku rokiem buntu i demonstracji studenckich. Od Polski różnił się tym, że na ulicach Warszawy i innych miast Polski studentów pałowano, tu do nich strzelano lub zakłuwano bagnetami na placu demonstracji. Kule trafiały też w przygodnych gapiów czy przechodniów. Nikt nie zna dokładnej liczby ofiar tej akcji, było ich dużo, ponad 500 osób. Miało to miejsce na obrzeżach stolicy, na placu Tlatelolco. Nie był to izolowany sposób uciszania tłumów, robiono to wiele razy w okrutnej historii tego kraju.

Na placu w czasie tego „wyciszania" Elena nie była, ale gdy tylko dowiedziała się o tej tragedii, natychmiast, już następnego dnia od wczesnego rana zaczęła zbierać od świadków zeznania o tym co się stało. Brała potem udział razem ze studentami w późniejszych demonstracjach, mimo że miała 36 lat i była mężatką oraz matką kilkumiesięcznego syna: była bita, więziona, zastraszana. Przed jej domem pojawiały się organizowane i opłacane przez władze miasta tłumy w proteście przeciwko niej – ona wychodziła do nich, by przedstawić swoje racje. Kończyło to się obelgami, przepychaniem, jeden z uczestników takiej hucpy złapał ją za rękę i tak mocno ścisnął jej dłoń, że z pierścionka odpadł diament, którego później nie odszukała.

Piętnaście lat młodszy od niej brat Jan też uczestniczył w ruchu oporu przeciw establishmentowi. Potem zginął w wypadku

samochodowym, możliwe, że zaaranżowanym przez przez „stróżów prawa”. Powstała książka poświęcona jego pamięci, która musiała przeczekać kilka lat na opublikowanie, do czasów zmiany prezydentów kraju. To „Noc w Tlatelolco”, w której Elena Poniatowska pomieściła wspomniane zeznania świadków i obszerny swój komentarz. W ciągu czterech miesięcy zebrała ponad sto zeznań, nie tylko na ulicach i tym placu, ale też od ludzi postrzelonych, przebywających w szpitalach, a także od uwięzionych studentów biorących udział w strajku. Odwiedziła też i bliżej poznała znaną w świecie zachodnim włoską dziennikarkę i pisarkę postrzeloną na placu – Orianę Fallaci, która zasłynęła później z bezpardonowej krytyki Islamu we współczesnej odmianie. Książka przyniosła Elenie sławę, jako dziennikarce broniącej pokrzywdzonych. Nawet uhonorowano ją za to dzieło główną nagrodą literacką Meksyku, której nie przyjęła.

Ten krytycyzm wobec rządzących państwem znaleźć można w innych jej publikacjach, jak na przykład w zbeletryzowanej powieści o uwięzionym przywódcy strajku kolejarzy Demetriu Vallejo „El tren pasa primo” (Pociąg przejeżdża pierwszy) i w cyklu wywiadów z uwięzionymi. Seria reportaży po wielkim trzęsieniu ziemi w 1985 roku, które zabiło około 30 tysięcy mieszkańców, pod zbiorowym tytułem „Nada, nadie: las voces del temblor” (Nic, nikt: odgłosy trzęsienia ziemi), to mocne oskarżenie władz za brak pomocy ludziom, szczególnie tym w

slamsach stolicy i o korupcji oraz robieniu fortuny na tym nieszczęściu przez mafiosów odbudowujących miasto. Pisała o kilku innych mafijnych przekrętach, jak o walce bezdomnych ze spekulanckimi deweloperami, a także o próbie samoobrony uciskanych zgrupowanej w partyzantce miejskiej. O przepełnionych więzieniach pisała w reportażach pod zbiorowym tytułem „Fuerte es el silencio" (Potężna jest cisza).

Książka „Do sępów pójdę" (Tytuł oryginalny dość nietypowy „Hasta no verte Jesus mio"), uważana jest przez wielu za najlepszą pozycję w jej twórczości. To spisane autentyczne, choć zbeletryzowane, wspomnienia Josefiny Borquez, analfabetki, meksykańskiej pół-Indianki, która w powieści nosi nadane jej przez pisarkę imię Jesusa (żeńska odmiana imienia Jezus) – kobiety, która brała czynny udział w rewolucji meksykańskiej po stronie powstańców, osoby o niezwykłym darze obserwacji i fenomenalnej pamięci. Przewijają się w niej znane postacie generałów okrutników, koniokradów, autentycznych rewolucjonistów z czasów rewolucji z lat 1910-29. Dużo jest w niej stron o losach kobiet z ludu i pogardliwym traktowaniu Indian, to prawdziwa ludowa epopeja o tych okrutnych czasach, a autorka nie musiała zbytnio się napracować by cokolwiek upiększyć i bez tego opowieść tak brzmi jakby była opowieścią z tysiąca i jednej nocy, okrutnych nocy. Faktycznie to pierwsza w Meksyku książka, szczera do bólu, o losie tych ludzi.

Obraz rewolucji meksykańskiej 1910-29.

Samo poznanie Josefiny Borquez przez Elenę i wielomiesięczne spisywania jej opowieści jest prawie tak ciekawe jak i sama opowieść, więc parę zdań na ten temat. Przemieszczając się

przez dzielnicę biedoty, jadąc poobijanym starym Volkswagenem na kolejne spotkanie z więzionymi kolejarzami, ubrana schludnie i elegancko zgodnie z życzeniem babci w szarym kostiumie, rozjaśnionym sznurem pereł, w białych rękawiczkach z guzikami, usłyszała krzyki kobiety. Jako zawodowa dziennikarka musiała się dowiedzieć co się dzieje. Odnalazła ją na dachu domu czynszowego. Nic się nie działo, po prostu Jezusa wyładowywała w ten sposób swoje frustracje. Potraktowała Elenę jak nieproszonego gościa. Potem stopniowo otwierała się przed nią. Opowiedziała jej o przepełnionych toaletach bez bieżącej wody, o miłości, rozstaniach, zdradach, beznadziejności szarych dni – a oczy magnatki na problemy życia biednych coraz szerzej się otwierały. Gdy Elena powiedziała w czasie tych opowieści, że są i dobrzy ludzie na świecie, sfrustrowana Jezusa przywołała ją do szeregu: „Przestań pieprzyć! Nikt nie jest dobry. Tylko takie głupie dupy jak ty mogą tak myśleć!"

Poniatowska spędza z nią całe dni tylko rozmawiając i rejestrując na taśmie magnetofonowej jej wypowiedzi. Przejmuje też pracę Józefiny w czasie tych niekończących się opowieści: „czyściłam benzyną sterty zabrudzonych kombinezonów roboczych. Karmiłam jej cztery kury, psa i kota". Józefina była praczką w budynku – opierała biedotę w nim mieszkającą.

Józefina w czasie rewolucji była kobietą jednego z wodzów rewolucji. Typ okrutny, prymitywny. Bił ją, gwałcił w

towarzystwie swych kumpli, dał jej broń do ręki i kazał walczyć w potyczkach z siłami rządowymi. Modliła się, by go wreszcie trafiła kula i wymodliła. Jego trafiła kula, ona przeżyła. Przez długie lata chwytała się każdej pracy, by nie zemrzeć z głodu, zanim znalazła tę pracę w budynku, w którym zamieszkała. Helena dodała do tych opowieści o Józefinie swoje własne spostrzeżenia o ludziach z marginesu, których ilość była dziesiątki razy większa od tych, którzy coś posiadali lub rządzili w państwie. Powstało arcydzieło. Dostrzegł to wybitny krytyk literacki Emilio A. Gomez. Podkreślił to, na czym Elena szczególnie skupiała swoją uwagę w książce, że prominenci niewiele wiedzą o tych „wyrzutkach społeczeństwa", że poza bogatym śródmieściem „parę kilometrów dalej Meksyk staje się brudny, niedożywiony, schorowany". Pisarska nie zapomniała podziękować analfabetce za wprowadzenie jej w świat, którego jeszcze nie znała:

> Jezusa wzięła mnie za rękę w świat prawdziwej biedy, w którym wodę trzeba było nieść ostrożnie, by nie uronić kropli, gdzie ludzie kradną elektryczność, gdzie kury znoszą jaja bez skorup, bo nigdy nie widzą słońca.

Druga część losów Eleny Poniatowskiej ukaże się w

poniedziałek, 19 marca 2018 r.

Zobacz też:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Poniatowscy_herbu_Cio%C5%82ek